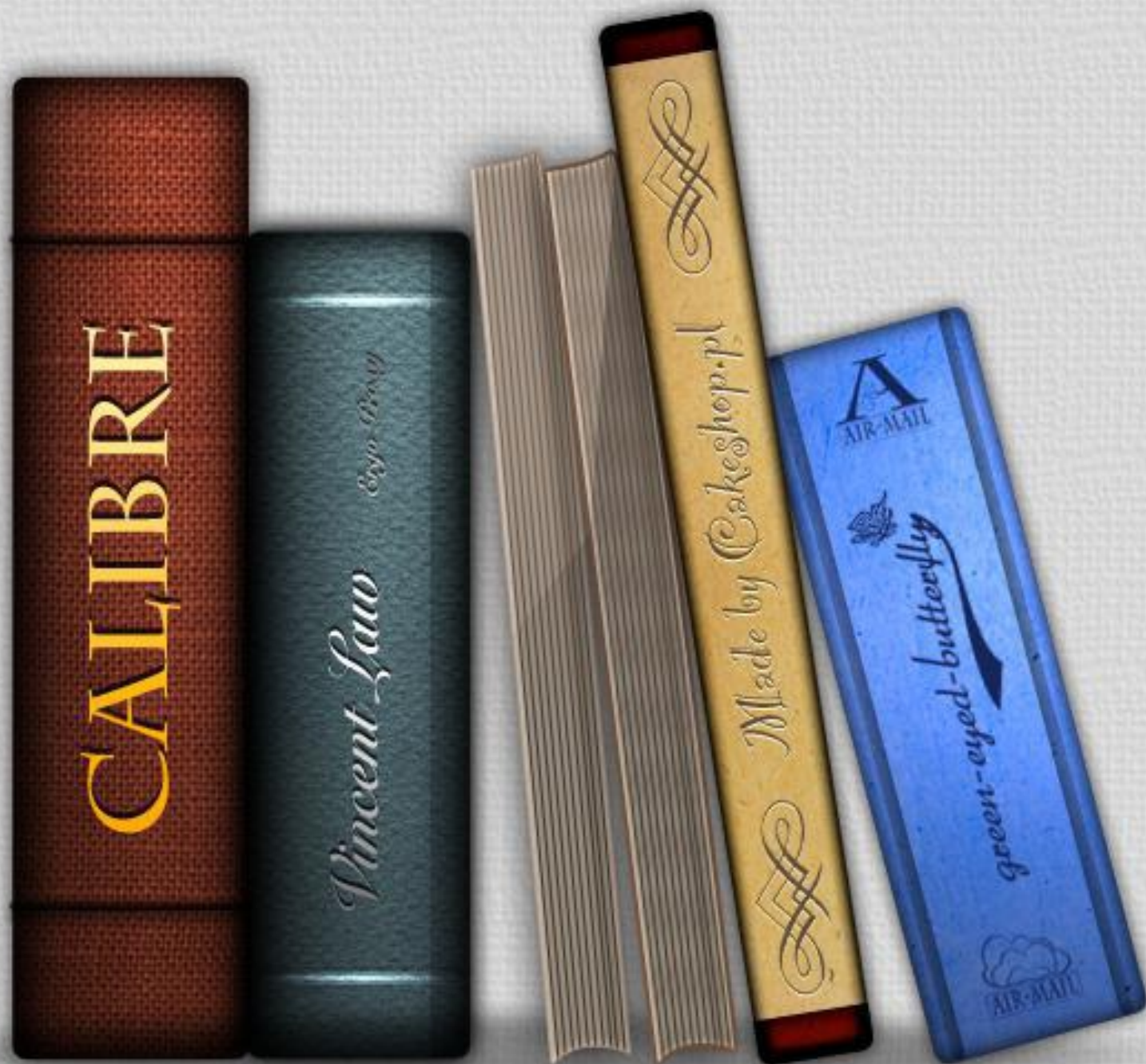


Niewidzialny człowiek

Herbert George Wells



calibre 0.9.27

HERBERT GEORGE WELLS

NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK

PRZEŁOŻYŁA EUGENIA ŻMIJEWSKA

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE INVISIBLE MAN

ROZDZIAŁ I

PRZYBYCIE DZIWNEGO CZŁOWIEKA

Na poczłtku lutego, w dzień wietrzny i niezny, zjawił się jaki nieznamomy człowiek.

Przyszedł pieszo ze stacji Bramblehurst, niośc niewielki kuferek. Był owinięty od stóp do głów, miał bardzo ciepłe rękawiczki, a duży pilniowy kapelusz osłaniał mu twarz tak szczelnie, że widać było jedynie koniec błyszczłwego nosa. nieg osiadł grubš warstwš na jego ramionach i piersiach, osłaniajłc białym pokrowcem także i kuferek.

Na wpół żywy dowlókl się do gospody Pod Dylizansem i rzucił walizkę przed ladš.

Pokój i ognia! zawołał. Dajcie ogrzany pokój, prędzej, na miłóć boskš!

Otržšnł nieg i udał się za gospodyniš, paniš Hall, do bawialni, aby się z niš umówić o mieszkanie. Dzięki paru suverenom rzuconym na stół porozumienie było szybkie.

Zakwaterował się od razu w gospodzie.

Pani Hall rozpałiła ogień na kominku i pozostawiła go samego na chwilę, odchodžłc dla przygotowania wieczery własnymi rękoma.

Goć przybywajłscy w porze zimowej na stałe do Iping był niesłychaň gratkš dla oberžystki, pani Hall; postanowiła więc dowieć, że zasługuje na takie wyjłtkowe szczęćie.

Skoro tylko słonina zaczęła parskać na patelni, a lamazarna posługaczka, Millie, została zagrzana do

popiechu paru dosadnymi zachętami, pani Hall zaniosa obrus, talerze i szklanki do bawialni i nakryła do stołu z wielkim szykiem.

Choć ogień palił się jasno w kominie, ku swemu zdziwieniu zobaczyła, że gość stoi w kapeluszu na głowie i w płaszczu i odwrócony do niej plecami patrzy przez okno na zasypane niegiem podwórze.

Ręce trzymał skrzyżowane z tyłu. Zauważyła, że nie zdjął rękawiczek. Spostrzegła również, że nieg, niedostatecznie strzepnięty z płaszcza, topniejśc w ciepłym pokoju spływa strugami na posadzkę.

Czy mogę zabrać pański płaszcz i kapelusz i wysuszyć je w kuchni? spytała.

Nie mruknął pod nosem.

Sadząc, że nie dosłyszał jej pytania, zamierzała je powtórzyć.

Odwrócił się i spojrział na nią przez ramię.

Wolę zatrzymać i jedno, i drugie rzekł z naciskiem.

Spostrzegła, że ma szafirowe okulary i pod kołnierzem płaszcza bujne faworyty, które zasłaniają mu zupełnie policzki.

Jak pan sobie życzy rzekła z niezadowoleniem. Za chwilę będzie zupełnie ciepło w pokoju dodała.

Nic na to nie powiedział i znowu zwrócił się twarzą ku oknu. Pani Hall czując, że nie wciśgnie go do gawędy, postawiła resztę naczyń na stole, czyniąc to w tempie staccatowym, po czym wysunęła się z bawialni.

Gdy powróciła za chwilę, stał jeszcze przy oknie, jak gdyby skamieniał, w płaszczu z podniesionym kołnierzem i w kapeluszu ze spuszczoneym rondem.

Postawiła jaja i słoninę zamaszycie, z hałasem i zawołała na całe gardło: niadanie podane!

Dziękuję odparł i ani drgnął, dopóki nie zamknęła drzwi za sobą. Wtedy odwrócił się i przystąpił do stołu z widocznym popiechem.

Idąc do kuchni zacna matrona słyszała szcęk łyżki obracanej w rondelku.

Nieznona dziewucha! mruknęła. Ona się z tym do jutra nie upora.

Wzięła z ręk posługaczki musztardę, w mgnieniu oka zaprawiła nią sos, nie omieszkując
wyłać ją Millie za jej powolność. Wszak ona, pani Hall, zdążyła usmażyć jaja ze słoniną,
nakryć stół, podać niadanie, a ta babra się jeszcze z głupią musztardą. I to dla nowego
gościa, takiego, co chce zamieszkać na dłużej! Istne utrapienie z tą służką!

Napełniła sosjerkę i postawiwszy uroczycie na złotoczarnej tacy zaniósła do bawialni.

Gdy otwierała drzwi, gość szybko się poruszył; zdążyła jednak dostrzec, że jakiś
biały

przedmiot zniknął pod stołem.

Wyglądało na to, że gość nachylił się, aby coś podnieść z ziemi. Postawiła sosjerkę na stole
i teraz dopiero zauważyła, że płaszcz i kapelusz leżą na krześle przed ogniem.

Para mokrych,

ociekających wodą butów groziła rdzą lniściej blasze przed kominkiem.

miało podeszła do krzesła.

Mogę chyba wziąć i te rzeczy do wysuszenia? spytała tonem nie pozwalającym sprzeciwu.

Proszę zostawić kapelusz rzekł gość cicho i niewyranie, przy czym podniósł
głowę

i bystro na nią spojrzął.

Przez chwilę stała wpatrzona w niego i tak zdziwiona, że słowa zamarły jej na ustach.

Dolną część twarzy gościa osłaniała serwetka jego własna usta i szczęki za
były

zupełnie zakryte. Dlatego też mówił głosem przytłumionym.

Ale nie zdziwiło to pani Hall, natomiast wprowadził ją w zdumienie fakt, że całe czoło nad
niebieskimi okularami było osłonięte białym bandażem, że drugi bandaż zakrywał
oczy,

pozostawiając odkryty tylko spiczasty i bardzo czerwony nos, ani odrobiny nie pobladły od ciepła, błyszczący tak jak przedtem.

Gość miał na sobie aksamitną kurtkę brązowego koloru z wysokim czarnym, zakrywającym szyję kołnierzem. Czarne, szczeciniaste włosy przebierały kępkami spod

bandaży, nadając mu tym bardziej cudaczny wygląd, za głowa owinięta była czym tak

niezwykłym, że pani Hall stanęła jak wryta.

Gość nie odejmował serwety, podtrzymując ją ręką ubraną w ciemnobrązową rękawiczkę, i wpatrywał się w panią Hall przez nieprzeniknione ciemne okulary.

Proszę zostawić kapelusz

powtórzył niewyranie przez serwetę.

Pani Hall zaczęła właśnie powracać do siebie, ochłoniwszy z wrażenia. Położyła kapelusz na krześle przy ogniu.

Nie wiedziałam

nie sadyłam

tłumaczyła się lękliwie i urwała zafrasowana.

Dziękuję rzekł chłodno, przenosząc wzrok z jej twarzy na drzwi, a potem z drzwi na nią.

Wysuszę należycie

rzekła zabierając ubranie i wynosząc je z pokoju.

W drzwiach spojrzała raz jeszcze na jego twarz osłoniętą bandażami i serwetą.

Dreszcz już

przebiegł mimo woli, gdy zamykała za sobą drzwi, a na twarzy jej malowało się zdumienie.

W życiu moim

nigdy jeszcze

mruczała idąc cichym krokiem do kuchni, a była tak zajęta swoimi myślami, że zapomniała nawet spytać Millie, czy długo będzie się jeszcze

grzebała przy kominie.

Gość siedział i nasłuchiwał, dopóki odgłos jej kroków nie umilkł, po czym spojrzał w okno i dopiero wtedy zdjął serwetę i zabrał się do jedzenia.

Wziął do ust jeden kęs, spojrzał podejrzliwie w okno, wziął drugi kęs, następnie wstał i z serwetą w ręku przeszedł się po pokoju, wreszcie zasunął w oknie firankę pogrążając pokój w półcieniu.

Spokojniejszym już krokiem powrócił do stołu i do swego niadania.

Biedak, miał jaki wypadek, operacje czy co podobnego

myślała pani Hall dokładając węgiel pod płytę. Przystawiła krzesło i rozpięła na nim ubranie swego gościa.

Podobniejszy do upiora niż do żywego człowieka

A jeszcze zakrywa się tą serwetą

Może ma usta skaleczone?

Odwróciła się nagle, bo przypomniała sobie ważniejszą sprawę.

Cóż u licha! zawołała grzmiącym głosem na Millie. Długo będziesz ty mi stała jak gapa? Roboty huk, a ona się nie ruszy do niczego!

A kiedy poszła sprzątnąć po niadaniu, utwierdziła się jeszcze w swoich domysłach, że gość ma usta zranione albo że został oszpecony w jakim wypadku; dolną część twarzy osłonił bowiem fularem, który mu zakrywał całe usta. Siedział w rogu, tyłem do okna; najedzony i rozgrzany przemawiał teraz uprzejmie i był skłonniejszy do rozmowy.

Odblask

ognia na kominku dodawał jego okularom blasku i jakby wyrazu.

Mam trochę pakunków powiedział zostawiłem je na stacji Bramblehurst. Kiedy mógłbym je tu

sprowadzić?

Odpowiedziała mu, że nie prędzej niż jutro.

Jutro? podchwycił. Czy nie można by wcześniej?

Nie.

Czy za dobre pieniądze nie poszedłby kto z taczkami na kolej?

Pani Hall, rada ze sposobności, zaczęła się rozgadywać.

Droga górzysta

mówiła. Mielimy tutaj taczki, ale służba połamała. Już to zdać

się na ich ręce! Nie ma dla nich nic świętego! W zeszłym roku na tej drodze wywrócił się

powóz

stangret i pan zabici na miejscu

Tak, tak, proszę pana, o wypadek łatwo w każdej

chwili

Ale gość nie dał się zbić z tropu.

Zapewne

odparł spoglądając na niś przez swoje nieprzeniknione szkła.

Łatwiej nabić guza, niż się z niego wyleczyć

trzępała dalej wymowna jejmość.

Syn mojej siostry, Tom, kosząc trawę zranił sobie rękę koszą. Stało się to w jednej chwili, a

potem trzy miesiŃce nosił rękę na temblaku. Nie mógł nic robić, a co się przy tym nacierpiał!

Boże odpuć! Pan nie uwierzy, ale od tego czasu nie mogę patrzeć na kosę.

Rozumiem to przyznał gość.

Balimy się, że trzeba będzie robić operację

tak z nim było le.

Gość zamięał się nagle, a miech ten był podobny do szczekania, i urwał.

Tak z nim było le? powtórzył.

Tak. To nie były żarty. Musiałam go opatrywać własnymi rękoma, bo siostra zajęta małymi. Trzeba było owijać i odwijać bandażę

toteż mogę miała powiedzieć, że nabrałam

wprawy. Umiem się obchodzić z ranami jak cyrulik

i gdybym tak miała spytać

Proszę podać zapalki. Zgasła mi fajeczka

przerwał jej nagle nieznajomy.

Stropiło to paniš Hall. Ale brutal

Za jej dobre chęci, za jej serce

Jestże tu sprawiedliwość na wiecie? Spojrzała na niego pragnąc mu wyrazić swójš pogardę, ale nagle przypomniała sobie dwa suwereny i poszła po zapalki.

Dziękuję rzekł chłodno. Odwrócił się do niej plecami i wyjrzał przez okno.

Pewnie nie lubił słuchać o operacjach i bandażach. Trudno. Každy człowiek ma swójš słabš stronę.

Nie miała już o nic pytać, jednak mrukliwość i niegrzeczność gocia rozdrażniły jš w najwyższym stopniu i biedna Millie miała się tego dnia z pyszna.

Nieznajomy pozostał w bawialni do czwartej nie dając pani Hall najmniejszego pretekstu do wejcia. Siedział i palił fajkę przy kominku

a może po prostu drzemał

Kilka razy ciekawe ucho przyłożone do dziurki od klucza słyszeć mogło jakie mruczenie,

to znowu odgłos kroków. Nieznajomy widocznie lubił mówić głośno do siebie, choć niechętnie rozmawiał z ludmi.

ROZDZIAŁ II

PIERWSZE WRAŻENIA PANA TEDDY HENFREYA

O czwartej po południu, gdy mrok już zapadał, a pani Hall wybierała się wejść do bawialni i zapytać gościa, czy nie napije się herbaty, w tej właśnie chwili do gospody wkroczył zegarmistrz, Teddy Henfrey.

Psi czas! zawołał od progu, przytupując nogami.

Na dworze nieg padał coraz obficie.

Pani Hall przyznała, że pogoda okropna, i zauważyła, że Teddy ma ze sobą pudełko z przyrządami.

Skoro pan tu przyszedł rzekła może by rzucił okiem na zegar w bawialni.

Co

prawda idzie i dobrze bije, ale wskazówka wskazująca godziny nie chce się poruszać i stoi wciąż na szóstej.

Zaprowadziła go przed drzwi bawialni, zapukała i weszła.

Otwierając drzwi spostrzegła, że gość siedzi w fotelu przed kominkiem i najpewniej drzemie, bo zabandażowana głowa zwieszała się w jedną stronę.

Pokój owietlały jedynie czerwone odblaski głowni. Kąty były ciemne, niewyrane, a ciemności wydawały się pani Hall jeszcze większe, bo przed chwilą zapaliła lampę w izbie szynkowej i była olepiona wiatłem.

Zdało jej się, że gość ma usta szeroko otwarte i tak ogromne, że sięgają uszu.

Było to wrażenie chwilowe, ale straszne, a ta obwiszana głowa i otwarta paszcza mogły się przynić i dręczyć jak zmora. Nieznajomy odwrócił się, wstał i podniósł rękę do twarzy.

Pani Hall otworzyła drzwi na ocież, aby wpuć jak najwięcej wiatła, i zobaczyła gościa

wyraniej: trzymał przy ustach fular zasłaniając się nim tak, jak poprzednio serwetą.

Gospodyni pomyślała, że jej się przywidziało.

Czy pan pozwoli? Przyszedł tu zegarmistrz. Chce obejrzeć zegar

rzekła opanowując chwilowy przestach.

Obejrzeć zegar? powtórzył nieznajomy rozglądając się dokoła jak człowiek zbudzony ze snu. Niech ogląda mówił z zasłoniętymi ustami.

Pani Hall wyszła po lampę. Gość wstał i przeciągnął się leniwie. Wniesiono wiatło. Teddy

Henfrey przestąpił próg pokoju i znalazł się naprzeciw obandażowanej postaci.

Potem

opowiadał, jak ciarki go przeszły na ten widok.

Dobry wieczór! rzekł nieznajomy patrząc na niego przez ciemne okulary, które, wedle słów pani Hall, czyniły go podobnym do kraba.

Sądzę, że panu nie przeszkadzam? spytał pan Henfrey.

Bynajmniej odparł nieznajomy choć sądziłem tu zwrócił się do pani Hall

że

pokój ten jest mi oddany do wyłącznego użytku.

Zdawało mi się, że pan będzie wolał mieć zegar naprawiony błęknęła pani Hall.

Zapewne

zapewne

mruknął gość ale ja przede wszystkim lubię być sam i nie znoszę, żeby mi przeszkadzano.

Odwrócił się plecami do kominka i wsunął ręce w kieszenie.

Jak się uporacie z tym zegarem, poproszę o herbatę, ale nie pierwej, aż się skończy reperacja.

Pani Hall zamierzała właśnie wyjść z pokoju tym razem nie wszczynając rozmowy nie

chcąc w obecności Henfreya narażać się na impertynencje gościa gdy ten zapytał

jś, czy

posłała już po jego pakunki na dworzec Bramblehurst. Odpowiedziała krótko, że pocziarz obiecał je wziąć na swój wózek i że je przywiezie nazajutrz.

Czy nie można by wcześniej? zapytał nieznajomy.

Z wielką godnością i spokojem upewniła go, że to jest niemożliwe.

Muszę wyjawić dodał że zajmuję się badaniami przyrody. Nie mogłem zrobić tego wcześniej, bo byłem głodny i zziębnięty.

Tak? zawołała pani Hall ze zdziwieniem, choć niezupełnie rozumiała, co to znaczy.

W moich kufrach są rozmaite przyrządy naukowe.

Są one zapewne panu potrzebne?

Dlatego też chciałbym je mieć jak najprędzej, żeby rozpocząć dalsze badania.

Ma się rozumieć.

Przyjechałem tutaj do Iping po to tylko, żeby mieć spokój i pracować w samotności mówił kładąc nacisk na te słowa. Nie znoszę, żeby mi przeszkadzano w robocie.

Przy tym

miałem wypadek

Byłam tego pewna

pomyślała pani Hall.

Zmusza mnie to także do trzymania się z dala od ludzi. Mam słaby wzrok, a chwilami tak mnie oczy bolą, że muszę siedzieć po ciemku i zamykać się w pokoju. Zdarza się to od czasu do czasu

Nie teraz, na szczęście. Wtedy lada szelest, wejście obcej osoby do pokoju

drażni mnie okropnie. Chce, żeby o tym pamiętano.

Dobrze odpowiedziała pani Hall. Jeli wolno zapytać

Sędzę, że nie ma już nic więcej do powiedzenia odrzekł nieznajomy z właciwš sobie stanowczociš.

Pani Piali zachowała swoje pytania i dowody współczucia do lepszej sposobności.

Po jej wyjściu nieznajomy stanšł przy kominku przyglšdajšc się, jak twierdził

potem pan

Henfrey, naprawie zegara.

Pan Henfrey pracował pod samš lampš; blask jej owiecał jego ręce, kółka i sprężyny, pozostawiajšc w cieniu resztę pokoju, a kiedy spojrział przed siebie, w oczach migaly mu różnokolorowe plamy.

Ponieważ był z natury ciekawy, rozebrał więc maszynerię zegara tylko dlatego, żeby dłużej zabawić i nawišzać rozmowę z nieznajomym. Ale ten stał milczšcy i chłodny, tak chłodny, że to aż drażniło pana Henfreya.

Miał on chwilami takie uczucie, jak gdyby był sam w pokoju; spoglšdał przed siebie i widział w gęstwinie zielonych plamek obandażowanš głowę i ciemne okulary. Raz spojrział ciekawie: para oczu i para okularów skrzyżowały się z sobš; Henfrey nie mógł wytrzymać

spojrzenia tych szkieł i spucił oczy.

Było mu nierano. Chciałby pogadać

Od czego tu zacząć! Powie, że zima niezwykle ostra w tym roku. Miał to być próbny strzał. Wycelował.

Pogoda

bšknšł.

Czemu pan nie kończysz i nie odejdziesz sobie? zagadnšł go nieznajomy ze le tłumionš wciekłociš. Masz pan nastawić wskazówkę. Chwilka roboty, a pan się z tym

guzdrzesz i udajesz zajętego. To po prostu szarlataneria!

Zaraz skończę

za minutkę. Zdawało mi się

Pan Henfrey zaraz też skończył

robotę i

odszedł, ale był bardzo niezadowolony.

Tam do licha. Trzeba czasem, przecież naprawić zegar! To nie człowiek, ale jakie

licho! Nie pozwala patrzeć na siebie

A jest też na co! myślał brodząc po niemu.

Gdyby cię poszukiwała policja, to i wtedy nie mógłby się szczerzej owinąć i zabandażować

Na rogu spotkał Halla, który ożenił się był niedawno z właścicielką oberży Pod Dylizansem. Trudnił się więc teraz dostawą towarów z Iping do stacji węzłowej w Sidderbridge. Stamtąd też właśnie powracał, zabawiwszy trochę w drodze.

Jak się masz, Teddy? rzekł do pana Henfreya.

Zastaniesz ładną niespodziankę w domu! odparł Teddy.

Cóż tam nowego? spytał Hall zaciekawiony.

Nowy gość do was zawitał. Winszuję!

Tu poczłł opisywać nieznajomego w wymownych słowach.

Wygląda, jak gdyby się przebrał albo jakby chciał się ukrywać. Ja, co prawda, na waszym miejscu chciałbym widzieć też twarz człowieka, którego przyjmuje pod mój dach, ale kobiety nie zastanawiają się nad niczym, zwłaszcza jeli chodzi o nieznajomych.

Rozgocił się już u was, a nie powiedział nawet swojego nazwiska.

Co też ty mówisz? zawołał Hall, który niezwykle powoli pojmował, o co chodzi.

Mówię szczerą prawdę ciśgnął dalej Teddy. Wziśł pokój na tydzień. Nie będziesz mógł pozbyć się go przed tygodniem, choćby to był nawet diabeł we własnej osobie. A jutro nadejdą jego pakunki. Ma ich podobno sporo. Daj Boże, żeby w pakach było co więcej

oprócz kamieni. Życzę ci tego, Hall.

Opowiedział przy tej sposobności, jak jego ciotkę w Hastings jakiś nieznajomy oszukał za pomocą pustych kufereków.

Hall był zaniepokojony i pełen podejrzeń.

Do widzenia! rzekł. Muszę ja w to wniknąć.

Teddy poszedł dalej; było mu znacznie lżej na sercu.

Zamiast jednak „w to wniknąć”, Hall został porządnie złajany przez żonę, że za długo bawił w Sidderbridge; na jego niemiałe pytania o gościa odburkiwała niechętnie i wymijająco.

Ale ziarno podejżenia, które Teddy zasiał w umyśle pana Halla, kiełkowało w cichoci mimo strachu przed żoną.

Toteż gdy nieznajomy poszedł spać, co nastąpiło o pół do dziesiątej, pan Hall miał wstąpić do bawialni, obejrzał meble żony, ażeby pokazać, że on jest tu panem, nie za ów nieznajomy, i ze szczerą pogardą popatrzał na jakieś równanie matematyczne skreślone na kartce papieru. Idąc na spoczynek zalecił pani Hall, aby się dobrze przyjrzała pakunkom gościa, gdy nazajutrz przyjdzie ze stacji.

Pilnuj własnego nosa, a do mnie się nie wtrącaj! odpowiedziała mu na te rady pani Hall.

Była tym opryskliwsza dla męża, iż w głębi duszy czuła, że ten obcy człowiek jest jednak bardzo dziwny, i sama bała go się po trosze.

Wśród nocy obudziła się nagle. niły jej się duże, białe głowy w kształcie rzepy lub brukwi, osadzone na patykach i błyskające czarnymi jak węgiel oczyma. Te głowy goniły ją i ziały siarką. Ale że pani Hall była osobą rozsądniejszą, więc opanowała strach, przewróciła się na drugi bok i zasnęła w najlepsze.

ROZDZIAŁ III

TYSIĘC I JEDNA FLASZKA

W taki sposób dwudziestego dziewiętego lutego, z pierwszsz odwilższ, dziwna ta osobistoć spłynęła z mgieł nieskończonoci do Iping.

Nazajutrz przywieziono pakunki nieznajomego, a były to niezwykle pakunki: najprzód para kuferków, jakie mógłby mieć każdy rozsšdny człowiek, potem paczka z ogromnymi grubymi ksiżzkami, były też między innymi pisane dziwnym pismem manuskrypty, dalej skrzynki, paczki i walizek co niemiara, a we wszystkich jakie przedmioty owinięte w słomę. Hall dowodził, że to nic innego, tylko butelki.

Nieznajomy wyszedł przed dom w płaszczu, w kapeluszu i rękawiczkach, aby powitać swoje bagaże, które Fearenside przywiózł z kolei.

Nareszcie przyszły! Tak długo czekałem rzekł podchodżsc do wózka.

Zdjšł najmniejsz skrzynkę. Wtem pies Fearensidea zaczął ujadać i w chwili gdy nieznajomy ze swoim pakunkiem wstępował na schody, rzucił się na niego z wyszczerzonymi zębami.

Hall, który stał także w drzwiach gawędzsc z Fearensideem, odskoczył na bok przestraszony.

Do nogi! krzyknšł Fearenside i podniósł batog.

Widzieli obaj, że zęby psa chwyciły rękawiczkę, widzieli, że pies podskoczył do góry i złapał za spodnie; ale w tej chwili bicz Fearensidea powstrzymał jego złowrogie zamiary.

Pies podwinšł ogon pod siebie i schował się między koła wózka.

Stało się to w mgnieniu oka. Nieznajomy spojrział na swoje rękawiczki i spodnie, po czym wszedł do gospody. Słyszeli, że od razu udał się do swego sypialnego pokoju na górę.

Ty gałganie, bestio przekłeta! mrucał Fearenside gramolšc się na wózek z biczem w ręku. Pies ukrył się jeszcze głębiej między koła.

Chod no tu, chod, sprawię ci lanie. Hall przypatrywał się temu.

Ukšsił go rzekł wreszcie. Trzeba by pójć zobaczyć.

I podšżył za nieznajomym. W sieni spotkał żonę.

Pies Fearensidea pokšsał gocia nie omieszkał jej oznajmić.

Poszedł wprost na górę, a ponieważ drzwi od pokoju nieznajomego były otwarte, więc wszedł bez ceremonii, będąc z natury skłonnym do serdecznych z ludmi stosunków.

Zasłony były spuszczone i w pokoju panował półmrok. Hall zobaczył co jakby rękaw bez ręki i twarz z trzema niewyranymi plamami na białym tle, twarz przypominajšcš biały kwiat bratka.

Potem otrzymał silne uderzenie w piersi, krzyknšł, upadł, drzwi zatrzęsnyły się za nim i zostały zamknięte na klucz. Stało się to tak nagle, że nie miał czasu zmiarkować, jak się to stało. Przed oczyma mignęły mu jakie niewyrane kształty, potem uczuł ból i pchnięcie. I oto teraz stał na schodach zastanawiajšc się, co też to być mogło i co on takiego widział

Po chwili wrócił do gromadki, która się utworzyła przed gospodš. Fearenside po raz trzeci opowiadał, jak pies rzucił się na nieznajomego; pani Hall czyniła mu wymówki dowodžc, że jego pies nie ma prawa znęcać się nad jej goćmi.

Huxter, kupiec korzenny, wypytywał cišgle, jak to było, a Sandy Wadgers, kowal, wydał šsd o tej sprawie; kobiety i dzieci plotły tymczasem od rzeczy: że nie powinno się trzymać takich psów, co kšsajš; zastanawiały się, dlaczego on chciał kšsać, i dowodziły, że na dobrego człowieka by się nie rzucił.

Pan Hall stanšł na progu i słuchał, i sam sobie wierzyć nie chciał, że tak dziwne rzeczy zdarzyły się na górze. Zresztš słownik jego był za ubogi dla opisania tych silnych wrażeń.

Goć nie chce opatrunku

odpowiedział na pytania żony. Ot, lepiej zaniosę jego rzeczy na górę.

Trzeba mu natychmiast wypalić rany radził Huxter szczególnie jeśli są nabrzmiałe.

Naturalnie, to pierwsza rzecz wtórowała jaka dama spośród grupy słuchaczy.

Nagle pies warknął.

Na progu ukazał się nieznajomy, osłonięty szczelnie jak przed chwilą; miał kołnierz

podniesiony do góry, a kapelusz spuszczone na oczy.

Chciałbym mieć moje pakunki jak najprędzej rzekł niecierpliwie.

Jeden z obecnych zauważył, że ma inne rękawiczki i spodnie.

Czy pana pokłosał? pytał Fearenside. Przepraszam

Bardzo mi przykro

Nic mi nie jest. Nie zadrapał nawet skóry brzmiała odpowiedź. Spieszcie się z tymi rzeczami.

Pani Hall zapewnia, że zakłosał pod nosem.

Skoro wedle jego wskazówek wniesiono pierwszą skrzynkę do bawialni, nieznajomy przypadł do niej skwapliwie i zaczął ją odpakowywać rozrzucając słomę po podłodze z

widocznym lekceważeniem posadzki pani Hall; wydobywał pękate flaszki napełnione jakim proszkiem i małe, wąskie, zawierające biały płyn, dalej niebieskie flaszki z napisem: trucizna, okrągłe flaszki z długimi, wysmukłymi szyjkami, buteleczki ze szklanymi, drewnianymi, porcelanowymi korkami, butelki owinięte w skórę, butelki od wina, buteleczki od oliwy.

Ustawiał je rzędem na kominku, na serwantce, na podłodze, na półkach od książek, na oknie, wszędzie gdzie tylko było miejsce.

Apteka w Bramblehurst nie mogła się poszczycić połową tych flaszek. Było na co spojrzeć!

Opróżniała się skrzynka za skrzynką, wydając coraz nowe szwadrony butelek, aż wreszcie

wszystkie skrzynki opustoszały, a podłoga i stół pokryły się słomą. Oprócz butelek jedynymi

przedmiotami, które się z tych skrzyń wyłoniły, były retorty i starannie opakowana waga.

Skoro tylko wydobyto zawartość skrzynek, nieznajomy zbliżył się do okna i zabrał się do

roboty nie zważając na rozrzuconą słomę, nie dbając, iż ogień wygasł na kominku, i nie myśląc o księżkach, które pozostały jeszcze w pakach w sieni, ani też o walizkach wniesionych do jego pokoju na górę.

Gdy pani Hall przyniosła mu obiad, był już tak zajęty wlewaniem płynów z flaszek do retorty, że wcale nie słyszał jej wejścia; ocknął się dopiero, gdy postawiła tacę na stole, a uczyniła to głośniejsz, niż należało, pragnąc okazać swe niezadowolenie z zarzuconej słomą podłogi.

Wówczas odwrócił głowę, ale natychmiast zwrócił ją znowu ku oknu; zdążyła jednak spostrzec, że nie miał okularów. Leżały one przy nim na stole. Spostrzegła również, że ma wpadnięte oczy, które robią takie wrażenie, jak gdyby wydrżono z nich renice.

Włożył

natychmiast okulary i zwrócił się wprost do niej. Chciała ubolewać nad nieporządkiem w pokoju, lecz uprzedził ją odzywając się głosem gniewnym, rozdrażnionym : Wymawiam sobie, żeby pani wchodziła bez pukania.

Pukałam, ale pan

Być może. Jestem zajęty badaniami

bardzo ważnymi

Najmniejsza przeszkoda, byle skrzypnięcie drzwiami

Zmuszony jestem paniś prosić

Naturalnie, może się pan zamykać od rodka, skoro potrzeba koniecznie takiego spokoju.

Dobra myl! podchwycił nieznajomy.

Jeżeli mi wolno się odezwać

Nie trzeba. Słoma zawadza? Wpisz jš pani do rachunku.

Mruknł co pod nosem. Brzmiało to jak przekleństwo.

Wyglądał strasznie z butelkš w jednej ręce, z retortš w drugiej, rozsierdzony, zaczepny.

Pani Hall struchlała, ale że była z natury niewiaścš rezolutnš, wiec nadrabiała minš.

Chciałabym wiedzieć, ile pan uważa

Dopisz pani szylinga. Wszak to dosyć?

Niech i tak będzie odparła pani Hall nakrywajšc stół obrusem.

Odwrócił się i usiadł do niej tyłem.

Przez całe popołudnie pracował przy drzwiach zamkniętych, jak to stwierdziła gospodyni, przeważnie w milczeniu.

Raz jednak dał się słyszeć brzęk szkła, jak gdyby kto podniósł nagle stół i flaszeczki pospadały na ziemię. Potem słychać było kroki przebiegajšce pokój. Bojšc się, czy nie stało się jakie nieszczęście, pani Hall podeszła do drzwi i nasłuchiwała.

Nie mogę

mruczał nieznajomy nie mogę

Trzykroć sto tysięcy! Czterykroć sto tysięcy! Wszystko na nic! Cierpliwoci! Cierpliwoci! Szaleńcze!

Do uszu pani Piali doleciał brzęk pensów; musiała bieć do izby szynkowej i ku wielkiemu swojemu żalowi nie dosłuchała reszty monologu.

Gdy powróciła pod drzwi, w pokoju było już cicho; kiedy niekiedy rozlegał się tylko chrzęst szkła lub posunięcie krzesła po podłodze. Nieznajomy zasiadł znowu do pracy.

Wieczorem przyniosła mu herbatę; przy tej sposobności zobaczyła potłuczone szkło na posadzce i plamy, jakby od roztopionego złota. Zwróciła mu na to uwagę.

Proszę wpisać do rachunku

odburknął nieznajomy. Niechże ja wreszcie mam spokój! Wpisujcie sobie do rachunku, co chcecie

Ja co panu powiem..: mówił tajemniczo Fearenside. Było to wieczorem; siedzieli sobie włąnie w piwiarni.

Cóż takiego? pytał Teddy Henfrey zaciekawiony.

Ten drab, co to go mój pies pokssał

jest czarny! Dojrzałem przez dziurę w rękawiczkach i w spodniach

Powiadam, że czarny jak mój kapelusz

To niepodobna! zaprzeczył Henfrey. Nos ma przecież czerwony

Prawda

przyznał Fearenside. Ale nogi i ręce ma czarne. Ot co powiem: ten człowiek jest łaciaty. Pół Murzyna

Czarna krew nie zmieszała się dobrze z naszš i porobiły

się łaty

Takie wypadki zdarzajš się nie tylko pomiędzy końmi, ale i wród ludzi

ROZDZIAŁ IV

PAN CUSS BADA NIEZNAJOMEHO

Opowiedziałem szczegółowo, w jakich okolicznościach nieznajomy przybył do Iping, a uczyniłem to chcąc wytłumaczyć, dlaczego wzbudził tak wielką ciekawość.

Lecz z wyjściem paru drobnych wypadków pominię milczeniem pierwsze chwile jego pobytu.

Nieznajomy gość miewał nieraz z panią Hall drobne zatargi o porządek, lecz zawsze przekonywał gospodynię dodatkową zapłatą. Trwało tak do końca kwietnia, kiedy to zaczęły się objawiać pierwsze braki pieniężne.

Hall nie znosił nieznajomego; przy każdej sposobności radził go się pozbyć i wykazywał korzyci takiego kroku; ale jego niechęć była bierna i ograniczała się do unikania gościa.

Poczekam do lata

przedkładała mu energiczna małżonka. Jak artyści zacząć się

zjeżdżać, wtedy pogadamy. Zanadto wymagający, to prawda, ale płaci akuratnie i do rachunków nie zagląda.

Gość nie chodził nigdy do kocioła i nie robił żadnej różnicy pomiędzy niedzielą a dniem powszednim. Pani Hall zauważyła, że nie pracuje tak jak inni, statecznie, porządnie.

Raz schodził do bawialni wczynie i był zajęty przez cały dzień do późnego wieczora. To znowu wstawał późno, przechadzał się po pokoju, całymi godzinami próżnował, palił fajeczkę albo drzemał w fotelu. Nie utrzymywał żadnych stosunków ze światem.

Humor miał także dziwny: był zawsze rozdrażniony, gniewny, przychodziły też na niego jakie napady, wówczas tłukł, druzgotał, co mu wpadło w rękę, nie pytając, szkło nie szkło, meble nie meble. Miał zwyczaj mówienia cisze do siebie, ale choć pani Hall nadstawiała dobrze uszu nakrywając do stołu, a nieraz też i podsłuchiwała pod drzwiami, to, co słyszała, było dla niej zupełnie niezrozumiałe, jakkolwiek wypowiedziano w rodzimym języku.

Rzadko bardzo wychodził we dnie, ale za to o zmroku, bez względu na deszcz, chłód i

wszelkš nie pogodę zwykł był wyruszać na spacerowiny tak szczelnie, że mu zaledwie nos było widać; wybierał zwykle do przechadzek miejsca ustronne, odległe i ocienione gęsto drzewami. Wracajšcy do domu wieniacy i rzemiełnicy przestraszali się, gdy nagle spoza krzaków ukazywała im się głowa obandażowana, osłonięta kapeluszem, i postać długa, jakby drewniana.

Którego wieczoru Teddy Henfrey, wychodząc około dziewiętej z szynku Pod Czerwonš Różš, zobaczył nagle przed sobą czaszkę białš, jakby trupiš, wetkniętš w ciemny fałdzisty płaszcz. To goć pani Hall przechadzał się z kapeluszem w rękę. Dzieci widząc go o zmroku pierzchały przerażone, a potem w nocy miały niespokojne sny i krzyczały ze strachu przed widziadłem.

Nie wiadomo, kto kogo bardziej nie cierpiał: on dzieci czy też dzieci jego, lecz to pewne, że pomiędzy obu stronami istniała wyrana antypatia.

Ma się rozumieć, że człowiek tak cudaczny musiał być przedmiotem częstych rozmów w takiej zapadłej wiosce, jak Iping.

Co do przedmiotu jego zajęć i zakresu jego pracy zdania były podzielone.

Pani Hall zapytywana o to odpowiadała niezmiennie, że jej goć jest badaczem robišcym dowiadczenia; mówiąc te słowa każdš sylabę wymawiała z osobna, ostrożnie, jak gdyby się bała którš połknąć.

Jeli jš pytano, co robi taki badacz, podnosiła zwykle głowę do góry i z pewnš wyższociš odpowiadała, że każdy człowiek wykształcony powinien sam o tym wiedzieć, dając do zrozumienia, że jej goć robi ważne odkrycia. Napomykała, że podczas dowiadczeń zdarzył mu się wypadek, dlatego skórę na twarzy i na rękach ma zupełnie bezbarwnš, jakby martwš, i nie lubi, gdy mu się przyglšdajš.

Poza jej plecami wyrażano przypuszczenia, że nieznajomy jest po prostu zbrodniarzem

pragnęszym się ukryć przed policjŃ i Ńe to jedynie skłania go do osłaniania twarzy.

Ta myl wyszła z mŃdrej głowy znanego juŃ nam pana Teddy Henfreya. Ale nie słydzano, aby jaka głoniejsza zbrodnia zdarzyła się w połowie lub w końcu lutego.

Taka hipoteza, przeszedłszy przez alembik wiatłego umysłu pana Gould, nauczyciela szkółki ludowej, zabarwiła się innym odcieniem. Pan Gould twierdził, Ńe nieznajomy jest anarchiŃ i Ńe wyrabia jakie straszne materiały wybuchowe; postanowił przeto zwrócić na niego baczniejszŃ uwagę wyręcajŃc w tyra opieszałŃ policję. ToteŃ ilekroć go spotkał, patrzył na niego badawczym wzrokiem. Wstępował teŃ często do pani Hall i zręcznie jŃ wypytywał, ale ta walka potajemna nie przynosiła Ńadnych owoców.

Inne przekonania żywił pan Fearenside. Ten stanowczo dowodził, Ńe to diabelski mieszaniec i Ńe jest łaciaty. SłuchajŃc tego Silas Durgan przedkładał, Ńe nieznajomy, zamiast robić wynalazki, powinien się pokazywać na jarmarkach, a z pewnościŃ zebrałby więcej pieniędzy.

Inni wreszcie dowodzili, Ńe to jest po prostu nieszkodliwy wariat. To wyjanienie tłumaczyło najlepiej różne cudactwa nieznajomego i trafiało do przekonania większoci obywateli Iping. Mieszkańcy Sussex majŃ umysły trzewe, nieskłonne do przesŃdów i wiary w nadprzyrodzone siły, toteŃ dopiero po wypadkach wynikłych na poczŃtku kwietnia po raz pierwszy zaczęto widzieć w tym wszystkim działanie złego ducha; ale wówdzas dawały temu posłuch jedynie kobiety.

Bez względu jednak na swe zapatrywania i przypuszczenia wszyscy mieszkańcy Iping zgodnie nie cierpieli gocia pani Hall. Jego ciŃgłe rozdraŃnienie mogło być zrozumiałe dla człowieka pracujŃcego umysłowo i żyjŃcego w miecie, było za rzeczŃ niepojętŃ dla prostych wieniaków w Sussex.

Bo i któŃ w tej zapadłej wiosce mógł zrozumieć błŃskanie się po nocy, lę przed ludzkŃ ciekawociŃ, zamykanie okiennic, gaszenie wiec i lampy, jadanie zawsze w samotnoci; kto

mógł pochwalać takie dziwne postęпки?

Gdy nieznajomy przechodził ulicami wioski, usuwano mu się z drogi, a gdy już przeszedł, młodzi chłopcy ze zwykłą u młodzieży skłonnością do drwin i naladownictwa podnosili

kołnierze i szli za nim przedrzeńając jego chód i ruchy. Krężyła też w owym czasie

piosenka ludowa pod tytułem Człowiekupiór. Panna Satchell zapiewała ją kiedy

na

wiejskim koncercie przy wietle kocielnych kandelabrow. Odtąd, skoro tylko nieznajomy

ukazał się z dala, wiejskie łobuzy biegły za nim wołając: Człowiekupiór!

Człowiekupiór!

Felczer Cuss pożerany był ciekawością. Bandaże budziły w nim profesjonalne zainteresowanie, a więc o tysińcu i jednej flaszcze przejmowała go zawistnym szacunkiem.

Przez cały kwiecień i maj czyhał tylko na sposobność, aby porozmawiać z nieznajomym;

wreszcie około Zielonych wińtek skorzystał z okazji i podczas zbierania składek na

sprowadzenie do wsi pielęgniarki poszedł z listą do pani Hall.

Zdziwił się wielce słysząc, że ta zacna matrona nie zna nazwiska swego gościa.

Podał mi jakieś mówiła ale nie dosłyszałam

Cuss wszedł do bawialni bez pukania:

W głębi pokoju piskliwy głos zaklął siarczycie: . Przepraszam za moją miałość

rzekł Cuss.

Drzwi zamknęły się i pani Hall nie mogła słyszeć dalszej rozmowy. Przez następne dziesięć minut dolatywały już tylko szepty, potem usłyszała okrzyk zdziwienia, szastanie

nogami, odgłos padającego krzesła, wybuch miechu i szybkie kroki na schodach.

Do sieni wbiegł Cuss, blady, z błędnymi oczyma: Pozostawił drzwi otwarte i nie zwracając

najmniejszej uwagi na gospodynię przeleciał przez sieni i wybiegł na dwór; słyszała jego

przypieszony kroki na gocińcu. Biegł z kapeluszem w rękę.

Pani Hall stała spoglądając na otwarte drzwi bawialni, potem do uszu jej doleciał stłumiony miech nieznajomego. Ze swego punktu obserwacyjnego nie mogła dojrzeć jego twarzy. Drzwi od bawialni zamknęły się znowu i dom ogarnęła cisza.

Cuss poszedł wprost do pastora, pana Bunting.

Czy ja oszalałem? zawołał wchodząc w skromne progi duchownego. Czy ja wyglądam na wariata?

Co się stało? rzekł pastor odkładając zeszyt z przyszłym kazaniem.

Ten człowiek z oberży

No i cóż?

Dajcie mi się czego napić! wołał Cuss padając na krzesło.

Gdy uspokoił nerwy kieliszkiem taniego sherry był to jedyny trunek odpowiedni do rodków pastora opowiedział mu swoją rozmowę z nieznajomym.

Wszedłem mówił nie mogąc jeszcze złapać tchu i przedstawiłem mu listę ze składkami na pielęgniarkę. Schował ręce w kieszenie i usiadł na krześle.

Pociśgał nosem.

Widać, że ma okropny katar. Powiedziałem mu, że doszło do moich uszu, jakoby zajmował się sprawami naukowymi. Odparł: Tak i kichnął. Nic dziwnego, że jest zakatarzony: tak się opatula. Zawinięty od stóp do głów. Wygląda na mumię. Przedłożyłem mu projekt utworzenia funduszu na stałą pielęgniarkę chorych w naszej wiosce, a mówiąc rozglądałem się dokoła.

Wszędzie butelki, flaszeczki, retorty, wagi; w pokoju unosił się dziwny zapach.

Zapytałem,

czy podpisze. Odpowiedział, że się namyli. Spytałem go prosto z mostu, nad czym pracuje, czy zajęty jest badaniami. Odpowiedział: Tak. Czy to są badania długie?

Mozolne? Na

to pytanie już się znecierpliwił. Diabło mozolne! rzekł takim głosem, jak gdyby mnie

odsypał do diabła. Tak? podchwyciłem. Ten wykrzyknik, nie wiem dlaczego, doprowadził go do wciekłości. Już pierwaj kipiał, a teraz wybuchł jak wrzścy kocioł, kiedy

nie może pary z siebie wydobyć. Co panu do mnie? zawołał. Co pan tu nos wcibia? Przeprasiłem go grzecznie. Zakaszłał i kichnł. Potem juź spokojniej mówił, że

zajęty był sporządzeniem pewnego przepisu. Wchodziło tam pięć ingrediencji.

Wsypał je do

retorty, odwrócił się na chwilę. Okno było otwarte, wiatr uniósł papier z przepisem. Włanie paliło się na kominku. Papier frunł i wpadł w ogień. On rzucił się za nim, ot tak, i wydobył z płonścyh głowni. W chwili tej, dla pokazania mi, jak to było, wyciśgnł ramię

No i cóź?

W rękawie nie było ręki

Ha? pomylałem, Spalił sobie rękę

Ma zapewne korkowś, ale teraz jś wyjšł. Potem jednak zastanowiłem się, że to dziwne. Jeżeli on nie ma

ręki, to cóź porusza się w rękawie? A powiadam panu, że rękaw był pusty, przynajmniej do łokcia. Widziałem to przez dziurę w ubraniu. Wielki Boże! krzyknł. On spojrział na mnie tymi strasznymi szklanymi oczyma, potem rzucił okiem na swój rękaw

I cóź dalej?

Umilkł, popatrzył na mnie i włożył rękaw do kieszeni. Mówiłem ciśgnł

dalej

że przepis palił się. Prawda? Zakaszłał pytajśco. Jakim sposobem.

rzekłem

możesz pan poruszać pustym rękawem? Pustym rękawem? zagadnł. Tak, pustym

rękawem powtórzyłem. To jest pusty rękaw? Czy pan widział, że to pusty rękaw?

Wyprostował się jak struna. I ja się podniosłem. Postłpił trzy kroki i stanł

tuż obok mnie.

Kichnął znowu. Ja ani drgnąłem, choć ta owinięta głowa i te szklane lepia mogły najodważniejszego przestraszyć. Powiedziały pan, że to jest pusty rękaw?

rzekł.

Naturalnie powtórzyłem. Milczał przez chwilę, potem wyjął rękaw z kieszeni i wznosił rękę, jak gdyby chciał mi ją znowu pokazać. Spojrzałem

Zimny pot wystąpił mi na czoło.

Rękaw jest pusty rzekłem odchrząknąwszy dla dodania sobie odwagi. Chciał co powiedzieć. Strach mnie porwał. Wyciągnął rękaw w moją stronę powoli, bardzo powoli, ot tak; miałem go sześć cali przed oczyma. Ciarki mnie przeszły, gdy widział, jak ten pusty rękaw się zbliża. A potem

No i cóż?

Potem jakie dwa palce chwyciły mnie za nos...: Bunting rozemiał się.

Dobrze się panu mieć zawołał Cuss ale ja przestraszyłem, się okropnie.

Porwałem go za rękaw, potrząsnąłem nim i wybiegłem z pokoju jak oparzony.

Cuss umilkł. Nie można było wątpić w szczerść jego strachu. Obracał się na krzele, był bardzo wzburzony; wypił drugi kieliszek liczego wina, którym go poczęstował pastor.

Kiedy go wziął za rękaw mówił dalej Cuss to poczułem pod palcami ciało i koci

Więc rękaw nie był pusty?

Pan Bunting spojrzał na Cussa podejrzliwie.

To dziwna historia

rzekł to istotnie bardzo dziwna historia! powtórzył

Z

naciskiem.

ROZDZIAŁ V

KRADZIEŻ NA PROBOSTWIE

O kradzieży na probostwie dowiedziano się od pastora i jego żony. Zdarzyło się to nad ranem w drugi dzień Zielonych wiśtek, w dniu dorocznych zabaw w I ping.

Pani pastorowa obudziła się nagle przed witaniem, co jej się wydało, że kto otworzył, a

potem zamknął drzwi od sypialnego pokoju. Nie obudziła męża, lecz usiadła na łóżku i nasłuchiwała. Doleciał już wyrany tupot bosych nóg; dreptały po sąsiedniej bawialni, wreszcie oddaliły się dźwięc przez sień ku schodom.

Teraz dopiero pani Bunting obudziła męża, cichutko, ostrożnie. Włożył okulary, szlafrok i pantofle, wyszedł po ciemku na schody i nadstawił ucha. Słyszał wyranie chodzenie po swoim gabinecie na dole, otwieranie biurka, a wreszcie silne kichnięcie.

Powrócił do pokoju, sypialnego, uzbroił się w najgroniejszy oręż, jaki miał pod ręką w

pogrzebacz i zszedł ze schodów, jak mógł najciszej. Pani Bunting wyglądała przez uchylone drzwi.

Było około czwartej po północy; ciemności już się przerzedziły. W sieni zarysowywały się ciany i sprzęty, drzwi do gabinetu tworzyły czarną plamę.

Dokoła panowała cisza przerywana tylko skrzypieniem schodów pod nogami pana Buntinga i szelestem dolatującym z gabinetu.

Nagle co brzękło, potem słysząc było otwieranie szuflady i szelest papierów, następnie rozległo się półgłone przekleństwo i potarcie zapalki. Żółty błysk oświetlił pracownię.

Pan Bunting zszedł już był i przez szparę w drzwiach mógł widzieć pulpit, otwartą

szufladę oraz płonącą na pulpicie wiecę, ale złodzieja nie widział

Stał namylając się, co robić; pani Bunting, blada i przerażona, zstępowała powoli ze schodów idąc na odsiecz mężowi. Jedno tylko podtrzymywało pastora na duchu, mianowicie pewność, że złodziej był miejscowy, osiadły we wsi.

Oboje małżonkowie słyszeli brzęk pieniędzy, co wiadczyło, że rabu odszukał ich krwawe oszczędności: dwa funty szterlingi w złotej monecie po pół suwerena.

Dźwięk ten pobudził odwagę pana Buntinga. Chwycił pogrzebacz i wpadł do pokoju, a żona za nim.

Podдай się! zawołał gronie pastor. Wtem umilkł przerażony. W pokoju nie było nikogo

Jednak przed chwilą słyszeli kroki i brzęk pieniędzy. Słuch przecież ich nie mylił

Stali

oszołomieni, wreszcie pani Bunting zajrzała pod biurko, mąż jej podniósł serwetę zakrywającą stół do kart, potem pani pastorowa zaglądała za firanki, a pan pastor grzebał w

popiołach kominka; pani pastorowa przerzucała papiery w koszu, a pan pastor zazierał do koszyka z węglem. Potem oboje stanęli na rodku i patrzyli na siebie w niemym zdziwieniu.

Byłbym przysiśgł! szepnął pan Bunting.

wieca! odszepnęła pani Bunting. Kto zapalił wiecę?

wieca! palił wiecę?

Szuflada otwarta, pieniędzy nie ma

mówił pastor.

Pani pastorowa podbiegła do drzwi.

To niepojęte, to niesłychane! wołała.

W sieni rozległo się kichnięcie. Wybiegli oboje; w chwili tej drzwi od kuchni stanęły

otworem.

Bierz więc! krzyknął pan Bunting. Słyszeli oboje odsuwanie rygla. Pastor widział otwierające się drzwi na podwórze. Nikt przez te uchylone drzwi nie wyszedł; otworzyły się i zamknęły same

W chwili tej zgasła wieca przyniesiona przez paniś Bunting z gabinetu. Stali oboje na progu obawiając się wejść do kuchni.

Izba była pusta. Zamknęli znowu i zaryglowali drzwi prowadzące na podwórze, zajrzeli we wszystkie kąty, nawet do stągiewki z wodą, i wreszcie zeszli do piwnicy.

W całym domu nie znaleli żywej duszy, pomimo najcilejszych poszukiwań.

Było już dobrze widno, a oni jeszcze ze wiecś lustrowali każdy pokój z osobna.

To niesłychane! powtarzał pastor po raz dwudziesty może.

Patrz

Zuzia schodzi z poddasza szepnęła pani pastorowa. Schowaj się za drzwi, a jak wejdzie do kuchni, wracaj na górę.

ROZDZIAŁ VI

MEBLE OSZALAŁY!

Tego samego dnia, drugiego Zielonych wišek, skore wit, zanim jeszcze utrapiona Millie wstała do swych codziennych obowiązków, małżonkowie Hall, obudziwszy się wczesniej niż zwykle, zeszli do piwnicy. Wiodły ich tam tajemnicze sprawy będące w cisłym związku z piwem sprzedawanym w gospodzie.

Zaledwie znaleli się w piwnicy, gdy pani Hall przypomniała sobie, że zostawiła w pokoju sypialnym butelkę z salsaparillš.

Ponieważ była ekspertem i głównš sprawczyniš zmian w składzie chemicznym piwa, zatem Hall został wyprawiony na górę po butelkę.

Przechodząc przez sień zdziwił się, że drzwi od pokoju gościa są otwarte. Wszedł

do

sypialni, znalazł butelkę. Wracając zdumiał się widząc, że drzwi wchodowe są zamknięte tylko na klamkę, choć zostały wieczorem zaryglowane.

Nie był z natury domylny, jednak od razu zestawiał ten fakt z drugim, a mianowicie z otwartymi drzwiami pokoju gościa, i dostrzegł pomiędzy obu faktami pewien związek.

Przypomniały mu się też ostrzeżenia pana Henfreya.

Wczoraj wieczorem sam przywiecał żonie, gdy zamykała drzwi na rygiel

Stał

chwile,

przyglądał się od ryglowanym, drzwiom, wreszcie, nie rozstając się z butelką, powrócił na górę.

Zapukał do drzwi nieznanego. Nie było odpowiedzi. Zapukał znowu, popchnął

drzwi i

wszedł.

Przypuszczenia jego sprawdziły się. Łóżko było puste, pokój również, a co dziwniejsza, zastanowiło to nawet niebystrego wcale pana Halla, na krzele leżało ubranie, jedyny garnitur nieznanego, i bandaże, którymi miał owinięty głowę. Nawet kapelusz o szerokim rondzie pozostał na łóżku.

Hall wszystko to rozważał, powoli wyprowadzając wnioski. Rozmyślania te przerwał mu

głony głos żony dochodzący z piwnicznych czeluci.

Czegoś się bawisz? krzychała pani Hall. Pobiegł do niej co tchu.

Joasiu

szeptał pędząc po schodach. To co mówił Henfrey, jest widać prawdą.

Jego w pokoju nie ma, a drzwi otwarte

Pani Hall nie mogła w pierwszej chwili zrozumieć, a gdy wreszcie pojęła, o co chodzi, nie ufając jak zwykle mężowi zapragnęła przekonać się na własne oczy i zobaczyć pusty pokój.

Hall, wciśniętą z butelką w rękę, szedł naprzód.

Jego nie ma, a ubranie jest

mówił. Jak on mógł wyjść bez ubrania? To dziwne!

Gdy wychodzili z piwnicy do sieni, widzieli wyranie, że drzwi wchodowe otworzyły się, a potem zamknęły same. Pani Hall wysunęła się naprzód i pobiegła na górę.

W sieni ktoś kichnął. Hall idący o parę kroków za żoną słyszał to kichnięcie; ona usłyszała je także, ale była pewna, że to mąż kicha. Wbiegła, otworzyła drzwi do pokoju gościa i rozejrzała się.

To dziwne! rzekła półgłosem.

Tuż za plecami usłyszała znowu kichnięcie; odwróciła się i ku wielkiemu swojemu zdziwieniu spostrzegła, że Hall jest jeszcze na schodach. Po chwili jednak był już przy niej.

Nachyliła się, powiodła ręką po ubraniu i po pocieli.

Chłodna

owiadczyła. Wyszedł co najmniej przed godziną

Nagle zdarzyło się coś dziwnego. Kołdra podskoczyła w górę, potem opadła, tak zupełnie, jak gdyby jaka niewidzialna ręka odsłoniła łóżko i zakryła je zaraz. W tejże chwili leżący na łóżku kapelusz nieznajomego podskoczył i uderzył panią Hall; potem skoczyła główka, następnie krzesło z ubraniem nieznajomego zawisło w powietrzu; ubranie spadło na ziemię, cztery drewniane nogi zawisły gronie nad głową pani Hall.

Gospodyni krzyknęła, krzesło uderzyło ją w plecy i wypchnęło za drzwi, w ten sam sposób obszedłszy się z jej małżonkiem.

Wylecieli oboje. Za nimi trzasnęły drzwi; kto zamknął je na klucz od wewnątrz

Potem

słychać było piekielny harmider, jak gdyby triumfalny taniec łóżka ze stołkami, wreszcie zapanowała cisza.

Pani Hall zemdląca wpadając w otwarte ramiona swego małżonka.

Przy pomocy Millie, obudzonej tym hałasem, zdołał on znieść ciężar jej na dół i zastosować zwykłe rodki używane dla przywracania zmysłów damom.

To duchy! Nic innego, tylko duchy! mówiła oczucona pani Hall. Czytałam o tym w gazetach

Wiem

stoły i krzesła podskakują i chodzą w powietrzu !

Napij się jeszcze trochę, Joasiu, to cię pokrzepi
namawiał Hall dolewając jej ginu.

Zamknij go! krzyknęła nagle. Niech on mi się nie pokazuje na oczy!

Powinno

była domyślić się. Takie straszne oczy i głowa owinięta

i nigdy nie chodził do kocioła

I

te flaszki

tyle flaszek

Na co to porządne człowiekowi? Po wpuszczał duchy w moje

meble! Takie porządne, wysłużone meble! Moja matka siadywała na tym krzele, jak byłam

jeszcze dzieckiem

I pomyśleć, że to samo krzesło zamierzało się na mnie i podnosiło nogi!

Jeszcze kropelkę, Joasiu, dla uspokojenia nerwów

Posiali służęcš po pana Sandy Wadgersa, kowala.

Pan Hall kłania się mówiła a meble na górze stajš dęba

Może pan do nas zajdzie?

Pan Wadgers był człowiekiem bywałym i wielce pomysłowym. Zmiarkował od razu, co się więci.

To sš czary

owiadczyk. Nic nie pomoże, tylko trzeba zawiesić na sznurku podkowę

Małżonkowie chcieli, żeby poszedł na górę; ale jemu nie było pilno. Wolał

wypytywać:

jak to właściwie było?

Do rozmowy przyłšczył się obudzony wrzawš pan Huxter, właściciel sklepu z tytoniem z przeciwka. Anglosaski zmysł parlamentarny ujawnił się tu w pełni: było dużo bezowocnej gadaniny.

Rozważmy naprzód fakty

mówił pan Sandy Wadgers. Zastanówmy się, czy mamy prawo otwierać drzwi przemocš

Nagle drzwi pokoju na górze otworzyły się same. Zebrani na naradę zobaczyli schodzącą ze schodów postać w płaszczu, kapeluszu i ciemnych okularach.

Nieznajomy przeszedł przez sień i stanął.

Patrzcie!

rzekł.

Oczy zgromadzonych powędrowały za jego wyciągniętym palcem i ujrzały butelkę salsaparilli stojącą przy drzwiach od piwnicy.

Wymówisz to słowo nieznajomy wszedł do bawialni i zniknął im drzwi przed nosem, bezlitośnie i złośliwie. Milczeli, dopóki nie przebrzmiał zgrzyt klucza.

Nie to przechodzi ludzkie pojęcie! odezwał się wreszcie pan Wadgers.

Wejd

pan, zażądaj wyjaśnienia

rzekł do pana Halla.

Mąż oberżystki nie od razu zrozumiał, co ma zrobić, a gdy mu to przełożono wyraniej, namyślał się. Dopiero popchnięty przez żonę otworzył drzwi i zaczął: Przepraszam

Id pan do diabła i zamknij drzwi za sobą!

huknął nieznajomy grzmiącym głosem.

Tak się skończyła ta krótka rozmowa.

ROZDZIAŁ VII

NIEZNAJOMY PRZEDSTAWIA SIĘ POD INNĄ POSTACIĄ

Nieznajomy wszedł do bawialni około pół do szóstej i pozostał w niej do południa, przy zamkniętych drzwiach i okiennicach. Nikt, po przygodzie, jaka spotkała Halla, nie miał się zbliżyć do drzwi.

Przez cały ten czas nieznajomy był na czczo. Dzwonił trzy razy, za każdym razem silniej i niecierpliwiej, ale nikt nie przychodził na wezwanie.

Niechaj mu diabeł służy, skoro innych do diabła wysyła!
mruczała pani Hall.

Tymczasem rozeszła się wieść o kradzieży na probostwie i zaczęto wysnuwać wnioski i zestawiać fakty.

Hall, wziwszy sobie na pomoc kowala Wadgersa, udał się do sędziego ledczego, pana Shucklewortha, aby zasięgnąć jego rady.

Co przez ten czas robił gość nie wiadomo. Chwilami chodził po pokoju, to znowu dolatywały z bawialni grone pomruki i przekleństwa, tłuczenie butelek, szelest papierów rozdzieranych niecierpliwš rękš.

Zbiorowisko przed gospodš zwiększało się z każdš chwilš. Nadeszła pani Huxter, przybyli młodzieńcy wystrojeni w nowe kurtki i białe papierowe kołnierzyki. Pytania i odpowiedzi krzyżowały się napelniajśc wrzawš powietrze.

Dzień był liczny. Mieszkańcy Iping stroili ulice we flagi, nadajśc im wišteczny wyglšd;

przed kuniš roztasowało się kilka wózków czekoladowej barwy: przywiozły one wędrownych sztukmistrzów i komediantów.

Nieznajomy miotał się w zaciemnionej bawialni, nie mogśc się doczekać przyjcia oberżystki.

Około południa otworzył nagle drzwi. Kilka osób stało przy ladzie.

Pani Hall! zawołał.

Kto z obecnych pobiegł po gospodynię. Ukazała się po chwili z gronym obliczem.

Weszła niosśc na tacy nie zapłacony rachunek i spytała: Pan zapewne chciał płacić?

Dlaczego nie dostałem niadania? Dlaczego pani nie przychodzi, gdy dzwonię?

Dlaczego mój rachunek nie zapłacony? odpowiedziała mu pytaniem pani Hall.

Chciałabym, się wpierw o tym dowiedzieć

Mówiłem pani przed trzema dniami, że oczekuje przekazu.

Możesz pan poczekać kilka godzin na niadanie, jeżeli ja czekam kilka dni na moją
należność. Prawda?

Nieznajomy zaklął krótko, ale siarczycie.

Prosiłabym pana, aby schował swoje przekleństwa dla siebie
rzekła pani Hall z
godności.

Nieznajomy był rozwścieczony. Wszyscy obecni widzieli, że pani Hall odnosi nad nim
przewagę. Sam dał tego dowód przemawiając innym tonem.

Moja dobra pani
zaczął.

Proszę mi nie wyjeżdżać z dobrymi paniami. Ja jestem sobie pani, bez dobroci

Chociaż mój przekaz jeszcze nie nadszedł

Nie zawracaj pan głowy przekazami!

Znalazłem jednak w kieszeni

Mówiłem mi pan przed trzema dniami, że masz przy sobie tylko drobniejszą monetę

Znalazłem więcej.

Doprawdy? zawołała pani Hall drzwiśco.

To rozdrażniło nieznajomego.

Co znaczś te drwiny? krzyknął.

Zanim panu dam niadanie odparła zanim wezmę pieniądze, musisz mi pan wpierw wyjanić parę
rzeczy, których ja nie rozumiem i nikt zrozumieć nie może, a wszyscy

by chcieli. Więc naprzód: co pan zrobił moim krzesłom na górze i dlaczego pański pokój był

pusty, a także jakim sposobem wszedł pan do niego? Moi goście zwykli wchodzić przez drzwi, a kto wchodzi inaczej, ten powinien się wytłumaczyć. Chce i muszę wiedzieć, jak się pan tutaj dostał. A chcę także dowiedzieć się

Nieznajomy tupnął nogą i zawołał: Milczeć, takim losem, że wszyscy się przelekli.

Nie wiecie, kto ja jestem i czym jestem!

mówił. Ja wam zaraz pokażę

Powiodł ręką po twarzy i cofnął dłoń. Ukazała się czarna pustka

Patrzcie

rzekł.

Wystąpił naprzód i podał pani Hall jakiś przedmiot, który ona wzięła automatycznie. Ale zobaczywszy, co to jest, wypuściła z ręki i krzyknęła przeraźliwie.

To był nos nieznajomego, nos czerwony, lśniący. Potoczył się na ziemię z takim szelestem jak tektura.

Potem nieznajomy zdjął okulary. Wszyscy osłupieli. Zdjął kapelusz, zdał

faworyty i

bandaż. Przez chwilę zalegało milczenie, brzemienne groź.

Jeżu Chryste! krzyknął ktoś wreszcie.

Zapanował popłoch; pani Hall rzuciła się do drzwi, inni za nią. Spodziewali się zobaczyć okropne rany, szpetotę, słowem coś strasznego, a tymczasem nie ujrzeli nic.

Jeden uciekał przed drugim, potrącano się wzajem, przeskakiwano przez nos i faworyty, żeby nie dotknąć czarów.

Przed nimi stała bezgłowa postać wymachująca pustymi rękawami i miotająca przekleństwa, które nie wiadomo skąd wychodziły.

Ludzie we wsi usłyszeli krzyki i pędząc w ich kierunku ujrzeli dziwne rzeczy.

Pani Hall

wybiegła z domu jak opętana, Teddy Henfrey wypadł za nią, ale się przewrócił na progu.

Wszyscy wylatywali z izby szynkowej. Wywabiona z kuchni hałasem wpadła Millie, a widząc nieznajomego bez głowy wrzasnęła wniebogłosy.

Kto żył we wsi, biegł ku oberży, a więc sklepikarka z synem, golibroda, szewc, krawiec, wiejscy eleganci, młode dziewczęta, poważne matrony, starcy, sztukmistrze i komedianci z czekoladowych bud. Ze czterdziestu osób zebrało się przed gospodą,. Utworzyła się istna wieża Babel, bo wszyscy mówili jednocześnie.

Paru mężczyzn podtrzymywało paniś Hall, która po raz wtóry w dniu owym postradała zmysły.

Naoczni wiadkowie zdumiewającego wypadku wrzeszczeli głośniejsze od innych, znajdując, i słusznie, że warto ich posłuchać.

Co on teraz robi? wołano;

Porwał nóż, chciał zamordować Millie! wrzeszczał łusarz.

A ja wam powiadam, że to czarownik. Trzeba go ze wsi wywieźć
domagał się felczer.

Ciekawi zaglądali przez okna do izby. Jeden, stojący najbliżej, opowiadał: Biegnie za dziewczyną

Powrócił

z nożem w ręku

Wziął chleb

On pewno chce zabić Millie

Zrobił się znowu popłoch. Objaniający młodzieniec został odepchnięty od okna.

Ustępowano miejsca nowym przybyszom.

Pan Hall powracał wiodąc ze sobą konstabla, pana Bobby Jaffersa, zbrojnego w rozkaz aresztowania; za nimi szedł z godności kowal Wadgers.

Pan Hall wstąpił na schody; zmierzał prosto do drzwi. Ujrzał je otwarte.

Konstablu rzekł czyn twojś powinność. Jaffers wszedł do bawialni, Hall za nim, Wadgers na końcu. Zobaczyli naprzeciw siebie bezgłowyś postać, w jednej ręce osłoniętej rękawiczkęś postać ta trzymała chleb, w drugiej kawał sera.

To on! zawołał Hall.

Cóż to za licho? odezwał się nad kołnierzem płaszcza piskliwy głos.

Nie miałem jeszcze do czynienia z takimi ptaszkami rzekł pan Jaffers jowialnie ale skoro kazali aresztować, to aresztuję pana, z głowś lub bez, mnie wszystko jedno.

Precz ode mnie! wrzasnęła czarna postać odrzucając chleb i ser i podbiegając do stołu z widocznym zamiarem chwycenia noża ale Hall uprzedził ten zamiar.

Jaffers chwycił ręce i cisnął niewidzialne gardło.

Dostał czym niewidzialnym po twarzy, ale nie zwolnił ucisku. Hall podał nóż Wadgersowi, który stanął przy drzwiach w charakterze więziennego dozorca.

Jaffers borykał

się w/ciśz z nieznajomym.

Chwytaj za nogi! krzyknął do pana Halla. Ten chciał spełnić rozkaz, ale został

kopnięty tak mocno, że odskoczył w bok. Wadgers widząc, że bezgłowy człowiek obala

konstabla na ziemię, począł wzywać ratunku. Nadbiegli Huxter i Siddebridge, powronik. W

tejże chwili kilka butelek zawirowało w powietrzu i rozbiło się o ich głowy, napełniając pokój strasznym wyziewem.

Poddam się! zawołał nieznajomy, choć trzymał już kolano na piersi konstabla; zerwał się przerażający, bezgłowy, bezręki, bo zerwano mu w bójce obie rękawiczki

osłaniające puste powietrze. Na nic się to nie zda

mówił nie mogąc widocznie złapać

oddechu.

Dziwnie było słyszeć głos wychodzący z próżni, ale wieniacy z hrabstwa Sussex to najtrzewiejsi ludzie pod słońcem. Jaffers podniósł się, wysił z kieszeni parę kajdanków.

Nie wiem, doprawdy, jak je nałożyć

mówił zafrasowany.

Nieznajomy opróżnił rękawy palta, nachylił się, zdjął buty i skarpetki.

Do stu piorunów! huknął Wadgers. To nie człowiek. To puste ubranie!

Patrzcie

Można wsunąć rękę w kołnierz nic tam nie ma

Dotknął czego niewidzialnego.

Mógłby pan nie pakować mi palców w oczy zapiszczał głos wychodzący z pustki.

Ja tu jestem cały: z głową, rękoma, nogami, choć nikt mnie dojrzeć nie może.

Sytuacja

niezbyt miła dla mnie, ale to jeszcze nie powód, żeby lada dudek w Iping deptał

mi po nogach

i szarpał mnie na kawałki.

Ubranie, zupełnie już rozpięte, wisiało w powietrzu. Do pokoju weszło jeszcze kilka osób.

Niewidzialny? Co? drwił Huxter. Kto słyszał kiedy o takim cudzie?

To rzecz dziwna, ale nie zbrodnia. Po co było wzywać policję? wołał piskliwy głos.

Robię, co mi kazali owiadczył chłodno Jaffers. Mam w kieszeni rozkaz aresztowania i aresztuję. Chodzi tu nie o niewidzialność, ale o kradzież z włamaniem. Dziś w

nocy okradziono probostwo.

I cóż z tego? zapytał niewidzialny głos.

Poszlaki wiadczy

Wszelakie poszlaki sš głupstwem zapiszczał nieznajomy. Zresztš gotów jestem pójć z panem. Tylko bez kajdanków.

Inaczej nie można.

Powiadam: bez kajdanków.

Przepraszam, ale

Postać usiadła; zanim obecni zmiarkowali, co się dzieje, buty, skarpetki i spodnie zostały rzucone pod stół.

Trzymaj, łapaj! huknął Jaffers miarkując, co z tego wyniknie. Chwycił palto; szarpało się zawzięcie. Wypadła z niego koszula, wreszcie palto pozostało w ręku konstabla

puste!

Trzymajcie! wołał. Jak się rozbierze, to go już nie zobaczymy!

Trzymajcie! krzyczeli wszyscy.

Rękawy od koszuli wymachiwały w powietrzu i nagle uderzyły Halla tak silnie, że jego rozstawione ręce opadły, potem koszula podniosła się w górę, jak gdyby jš kto zdejmował

przez głowę. Jaffers pochwycił jš. Dostał w twarz tak, że się w całym pokoju rozległo, choć nie było widać ręki, która mu wymierzyła policzek.

Trzymaj, łapaj! wołali wszyscy i biegali po pokoju, ale nic złapać nie mogli.

Zamknijcie drzwi! kto krzyknął. Nie należy go stšd wypuszczać!

Ja co schwyciłem! To on! zawołał Wadgers triumfalnie.

W tejże chwili dostał pięciš w nos zalał się krwiš. Každy co oberwał: Henfrey miał zšb wybity, Huxter guz na czole, Jaffers otrzymał silne uderzenie w plecy.

Uczuł nagie, że

co stanęło pomiędzy nim. a Huxterem i nie pozwala im się zbliżyć. Namacał

ramiona.

Mam go! krzyknął borykając się z niewidzialnym przeciwnikiem, aż mu żyły wezbrały na skroniach. Nieznajomy popychał go ku drzwiom. Konstabl zmagając się z nim i

przechylając się to w prawo, to w lewo wpadł do izby szynkowej. Chciał wtłoczyć niewidzialną postać z powrotem do bawialni, ale ona wypchnęła go za drzwi wejściowe.

Spadł z kilku schodów na ulicę

Nieznajomy wysunął się za nim.

Na ulicy, przed domem Huxtera, kto potrącił przechodzącą kobietę.

To był ostatni znak życia dany przez Niewidzialnego Człowieka. Zniknął bez ladu.

Przez chwile zbiorowisko stało spłoszone, potem panika rozegnała wszystkich, jak wiatr rozpędza suche liście. Tylko Jaffers leżał na wznak, z nogami na schodach, a głową niżej.

ROZDZIAŁ VIII

W PRZELOCIE

Ósmy rozdział jest króciutki i opowiada, jak Gibbins, naturalista, leżący na pobliskim pagórku w tym mniemaniu, że nie ma żywej duszy dokoła, usłyszał nagłe kaszel, potem kichanie, a wreszcie srogie przekleństwa.

Podniósł głowę i nic nie zobaczył. A jednak głos był wyrany; klął

siarczycie, dobór

przekleństw był tak różnorodny, iż wiadczył o dużym wykształceniu owej rozdrażnionej a niewidzialnej osoby. Była chwila, w której głos brzmiał najsilniej, potem stopniowo słabł i oddalał się, wreszcie umilkł zupełnie, oddalił w stronę Adderdean. Raz jeszcze rozległo się kichnięcie i zapanowała znowu cisza.

Gibbins nic nie wiedział o zajciach, które dnia tego zdarzyły się w Iping, lecz to, co słyszał na własne uszy, było tak dziwne, iż go wyprowadziło z filozoficznej równowagi.

Wstał, zbiegł co tchu z pagórka i podszedł do domu.

ROZDZIAŁ IX

PAN TOMASZ MARVEL

Macie sobie wyobrazić pana Tomasza Marvela jako tłustego, przysadzistego jegomocia.

Jegomoć ten miał twarz okrągłą, nos pałkowaty, czerwony, usta grube, zarost bardzo rzadki i

widoczna skłonność do tuszy. Ubranie jego dosyć niedbałe, brak guzików przy kurtce,

wytarty kapelusz oraz inne lady zaniedbania wiadczyły, że był kawalerem.

Pan Tomasz Marvel siedział sobie na drodze do Adderdean, spucił do rowu stopy w skarpetkach wstępliwiej czystoci i całoci i przymierzał parę butów. Dawno już nie miał tak

dobrych i całych, ale za to były o wiele za duże; te, które zdjął, pasowały lepiej, lecz miały za cienkie podeszwy i przepuszczały wilgoć.

Otóż pan Marvel nie znosił dużych butów, ale nie znosił też wilgoci. Nigdy jeszcze się nie zastanawiał, co mu było przykrzejsze, bo nie lubił w ogóle myśleć. Postawił obie pary przy sobie na drodze i przyglądał im się apatycznie; uważał, że obie są bardzo brzydkie. Nagle jakiś głos odezwał się za jego plecami:

No, mam przynajmniej buty!

To są buty z Dobroczyńcy, a która para brzydsza, tego i diabeł nie pozna odparł

pan Tomasz Marvel nie odwracając głowy.

Hm! mruknął Głos.

Ha! Nosilem już gorsze, nie nosilem i żadnych ubolewał pan Marvel. Całe, to prawda, ale dżentelmen, któremu życie schodzi na włóczędze, ma wciś swoje buty przed oczyma i chciałby patrzeć na coś porządniejszego. Nie mogłem to lepszych dostać? Już takie moje szczęście, bo przecież ten powiat słynie z dobrych butów. Schodziłem go wszędzie i wzdłuż.

Dziesięć lat biorę stąd buty

i oto jakie mi dają po tak długiej znajomości.

To przeklęty powiat: prosięta i osły, a nie ludzie odezwał się znowu Głos.

Prawda? podchwycił pan Marvel. Takie buty dać człowiekowi! Niech im tego Bóg nie pamięta!

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na buty interlokutora i porównać je ze swoimi, lecz w miejscu gdzie powinny były stać, nie było ani nóg, ani butów

Wielkie zdumienie ogarnęło pana Marvela.

Gdzież pan jeste? zapytał podnosząc się na czworakach i rozglądając dokoła.

Pustka. Nic oprócz gocińca, przydrożnej trawy i krzaków.

Czy ja jestem pijany? mruknął pan Marvel. Czy mi się przestęszowało? A może mówiłem sam do siebie?

Nie bój się

rzekł Głos.

Jaki brzuchomówca

pomyślał Marvel zrywając się na równe nogi. Gdzie pan jeste, u licha? zawołał. Ja tam się niczego nie boję.

Nie bój się

powtórzył Głos.

Ty mi się przelęknieš, poczekaj zawołał pan Marvel. Gdzie jeste? Ukryłe

się

pod ziemiš? Mów.

Nie było odpowiedzi, Pan Tomasz Marvel stał zdumiony. Zaczynał się bać po trosze.

Pójdcie żść! zapiszczał Głos naladując przepiórkę.

To nie czas na udawanie i żarty! krzyknął pan Marvel.

Nad drogš rozcielało się jasne, pogodne niebo, a droga biegła pusta i równa, nie było słychać żadnego szelestu oprócz ćwierkania.

Upiłem się, nic innego pomyślał pan Marvel podnosząc kołnierz. To wódka przeze mnie gada

szeptnł.

Nie wodka! zaprzeczył mu piskliwy glos. Jeste zupełnie trzewy, ale radzę ci nie poddawać się strachowi.

To wodka! powtórzył jeszcze pan Marvel, ale zaczął się już bać i między fioletowymi cętkami twarz mu pobladła. Obejrzał się. raz jeszcze, ale ostrożnie, lękliwie.

Mógłbym przysiść, że słyszałem jaki glos
szeptnł.

Naturalnie, że słyszałe.

Znowu! zawołał pan Marvel zamykajśc oczy i osłaniajśc je rękoma.

Nagle został schwycony za kołnierz i wstrzśnięty silnie.

Słuchaj! mówił Głos.

Słucham

jęknł pan Marvel i uczył, że go kto dotyka rękš.

Mylisz, że ja jestem złudzeniem? pytał.

Czymże innym być mozesz? odparł pan Marvel nie otwierajśc oczu.

Dobrze

zawołał Głos. Będę ciskał w ciebie kamykami, dopóki nie zmienisz poglšdu.

Ale gdzież ty jeste?

Głos nic na to nie odpowiedział. W powietrzu wisnł kamień, który przeleciał
ponad

głowš pana Marvela.

Włóczęga odwrócił się i zobaczył drugi kamyk unoszšcy się w powietrzu; ten skaleczył
mu nogę.

Pan Tomasz Marvel zerwał się i wrzasnł wniebogłosy. Chciał uciekać, ale się przewrócił
na niewidzialnej przeszkodzie i znalazł znowu w pozycji siedzšcej.

No, teraz nie powiesz, że jestem przywidzeniem rzekł Głos godząc znowu we włóczęgę.

Pan Marvel zamiast odpowiedzi próbował wstać, ale upadł na ziemię potknąwszy się o co niewidzialnego.

Jeżeli będziesz się opierał, to ci rozwalę głowę kamieniem! zawołał Głos.

Łatwo ci to przyjdzie

mówił pan Marvel siadając na ziemi i opatrując sobie nogę.

Nie rozumiem, doprawdy

mruczał. Kamienie latają same w powietrzu

Kamienie gadają

W tej chwili padł trzeci pocisk.

To jednak łatwo zrozumieć odezwał się Głos. Ja jestem Niewidzialnym Człowiekiem.

Czyż to możliwe? pytał pan Marvel nie mogąc jeszcze przyjść do siebie.

Widać, że możliwe, skoro tak jest.

Jakim sposobem ukryłeś się?

Ja się nie ukryłem; ja jestem po prostu niewidzialny. Chcę, aby zrozumiał

jedno

Ale gdzie ty jesteś?

Tutaj, o sześć kroków przed tobą.

Wolne żarty! Przecież mam oczy. Chcesz wmówić we mnie, że jestem powietrzem?

Jestem przezroczysty jak powietrze. Widzisz przeze mnie. A jednak mam ciało i koci,

potrzebuję pić i jeść, potrzebuję także się odziać. Ale widzialny nie jestem.

Doprawdy? No to podaj mi rękę. Chryste Panie! wrzasnął nagle pan Marvel.

To

mnie przestraszył! Chwyciłeś mnie jak w kleszcze

Namacał rękę, która go dotknęła, potem ostrożnie, lękliwie przesunął dłoń w górę, poczuł ramię, piersi i obroniętą twarz.

Nie wierzył dotykowi własnych palców.

To niepojęte
zdumiewające

mruczał. Widzę przez ciebie zająca biegnącego po polu, ale ciebie nie widzę
tylko

Przyjrzał się bliżej pustej na pozór przestrzeni.

Czy nie jadłeś czasami chleba z serem? zapytał trzymając wciąż niewidzialną rękę.

Istotnie, jadłem; jeszcze nie strawiłem, więc je widać.

To dziwne! zdumiał się pan Marvel.

Nie takie dziwne, jak ci się zdaje.

Wy tłumacz mi, w jaki sposób zrobiłeś się niewidzialny.

To za długa historia. Zresztą nie o to chodzi. Rad jestem, że cię spotkałem.

Byłem nagi,

bezbronny, wciekły, gotów mordować i palić po drodze

Wielki Boże! krzyknął pan Marvel.

Nagle ujrzałem ciebie. Podszedłem z tyłu

wahałem się

Zimny pot oblał pana Marvela.

Pomyślałem sobie: mówił dalej Głos oto jaki wyrzutek społeczeństwa.

Takiego

mi właśnie potrzeba. Więc zbliżyłem się i

Czymże ja, biedak, mogę ci się przysłużyć?

Pomożesz mi zdobyć ubranie, mieszkanie i wiele innych rzeczy. Gdyby nie chciał

Ale ty musisz chcieć

Zlituj się! jęknął pan Marvel. Widzisz, ja jestem biedak, obdartus

Nie zabijaj

mnie! Pozwól mi odejść spokojnie. W głowie mi się już mści

Mylę, że oszalałem albo

co

Dokoła pustka

Niebo, ziemia, krzaki, nic więcej

I nagle jaki Głos wychodzi z

powietrza

Potem kamienie podskakują same

Co to wszystko znaczy?

Choćby łamał sobie głowę przez resztę życia, to tego nie zrozumiesz. Ot, lepiej

słuchaj, co ci powiem.

Pan Marvel wytrzeszczył oczy.

Wybrałem ciebie właśnie mówił Głos. Ty jeden, oprócz tamtych osłów we wsi, wiesz, że istnieje Niewidzialny Człowiek. Będziesz moim pomocnikiem. Nie pożałujesz tego.

Dokonamy wielkich rzeczy. Dam ci niezwykłą moc. Ty nie wiesz, jak potężna jest niewidzialność

Głos umilkł na chwilę. W powietrzu rozległo się kichnięcie.

Ale jeżeli mnie zdradzisz mówił jeżeli nic będziesz wykonywał tego, co ci rozkażę

Silna ręka spadła na ramię pana Marvela. Ten krzyknął ze strachu i skulił się.

Nie zdradzę! Nie posłdzaj mnie o złe zamiary! prosił. Powiedz, co mam zrobić

zrobię wszystko

wszystko, co rozkażesz

Boże! zlituj się!

ROZDZIAŁ X

ODWIEDZINY PANA MARVELA W IPING

Gdy pierwszy strach minął, mieszkańcy Iping odzyskali mowę, a nawet wymowę.

Poczęło

się objawiać zwłstpienie, z poczętku trochę lękliwe, ale niemniej wypełzały wstpliwoci co do istnienia tego zdumiewajšcego zjawiska.

Łatwiej jest nie wierzyć w Niewidzialnego Człowieka, niż wierzyć w niego choćby na podstawie niezbitych dowodów.

Ci, którzy widzieli na własne oczy, jak się rozpuszczał w powietrzu, ci, którzy czuli na sobie dotknięcie jego niewidzialnej ręki, mogli być policzeni na palcach. A jeden z tych nielicznych wiadków, Wadgers, skrył się za żelazne sztaby swego sklepu, za

Jaffers leżał

nieprzytomny w gospodzie pani Hall.

Wielkie odkrycia, zdumiewajšce dowiadczenia wywierajš mniejszy wpływ na umysły niż fakty małej wagi.

Iping przyzwyczało się od lat wielu wietować i bawić się w drugi dzień Zielonych wiat.

Ludzie cieszyli się na to parę miesięcy z góry, więc nawet ci, którzy wierzyli w istnienie

Niewidzialnego Człowieka, starali się o nim zapomnieć i używać całym sercem rozrywek na ten dzień zgotowanych. Wszyscy byli pewni, że już się rozplynšł we mgle i nie da nigdy więcej znaku życia.

Na łšce rozpięty był namiot, w którym pani pastorowa i inne damy nalewały herbatę;

dzieci z wiejskiej szkółki pod opiekš nauczycielki ludowej bawiły się w różne hałaliwe gry.

Przyznać muszę, że w głębi niejednego serca czał się pewien niepokój; ale wszyscy

ukrywali to starannie, trzymajšc wyobranie na wodzy.

Wesołość była ogólna. Katarynki skrzypiały zawodzšc czułe melodie, wędrowni komediantci pokazywali sztuki, młodzież wiejska przybrana w jasne tuzurki i pstre krawaty

zalecała się do panien wystrojonych jak na wesele.

Około czwartej jaki nieznajomy wszedł do wioski od strony Adderdean. Był to jegomoć krępy, niedbały w ubraniu i okropnie zadyszany; szedł jakby po rozżarzonych węglach i wciśz oglądał się za siebie. Zwrócił swe kroki ku oberży Pod Dylizanssem.

Między innymi dostrzegł go i stary powronik Fletcher. Opowiadał potem, że od razu nie miał przekonania do tego człowieka. Pan Huxter spostrzegł, że nieznajomy mówi do siebie półgłosem.

Stanął przed gospodą i, wedle upewnień pana Huxtera, toczył walkę ze sobą, nim przemógł się, żeby wejść.

Pan Huxter widział, jak minął izbę szynkową i wszedł prosto do bawialni. Potem tenże pan Huxter słyszał, jak pan Hall objaniał przybyłego, że ten pokój nie jest do użytku gości.

Nieznajomy zamknął drzwi i pozostał w izbie szynkowej.

Po paru minutach ukazał się znowu na ulicy; ocierał usta ręką, oglądał się dokoła; potem pan Huxter widział go zakradającego się ku bramie podwórza, na które wychodziły okna bawialni.

Nieznajomy po chwili wahania wyszedł z kieszeni glinianą fajeczkę i naładował ją tytoniem.

Palce mu drżały. Zapalił fajeczkę, ale był widocznie niespokojny i wciśz oglądał się na podwórko.

Wszystko to pan Huxter widział przez okno swego sklepu i dziwne zachowanie się obcego człowieka zaostrzyło jego czujność.

Nagle nieznajomy wytrząsnął popiół z fajki, schował ją do kieszeni i wsunął się na podwórko. Pan Huxter, pewien, że jest wiadkiem kradzieży, wybiegł ze swego sklepu i stanął na drodze, aby zatrzymać złodzieja.

Po chwili obcy ukazał się znowu: w jednej ręce niósł zawiniśtko w niebieskim obrusie, w drugiej trzy duże księżki obwiązane, jak się potem okazało, szelkami pana pastora.

Ujrzawszy pana Huxtera rzucił się w bok i chciał uciekać.

Złodziej! Łapcie! zawołał pan Huxter.

Ale nagle został podrzucony w górę jak piłka. Tysiśce wieczek stanęło mu przed oczyma, a co się dalej działo, nie pamięta. Stracił przytomność.

ROZDZIAŁ XI

POD DYLIŻANSEM

Aby zrozumieć, co się stało w oberży, należy cofnąć się do chwili, gdy pan Marvel ukazał się po raz pierwszy oczom pana Huxtera.

Pan Cuss i pan Bunting siedzieli właśnie w bawialni gospody rozmawiając o dziennych zdarzeniach i za pozwoleniem pana Hall przeglądali rzeczy pozostałe po Niewidzialnym Człowieku.

Konstabl Jaffers oprzytomniał już; paru przyjaciół odprowadziło go do domu. Pani Hall pozbierała rozrzuconą odzież nieznajomego i uprzątnęła pokój.

Na stole pod oknem leżały trzy duże księgi z napisem: Dziennik. Cuss rzucił się na nie skwapliwie.

Dziennik! zawołał. Nareszcie dowiemy się czego!

Zasiadł przy stole, otworzył pierwszą księgę.

Hm! Nie ma nazwiska na pierwszej karcie

Same cyfry i jakie znaki

mówił

pan

Cuss.

Pastor podszedł do stołu i zajrzał mu przez ramie.

Czy nie ma żadnych objanień? Jakiego klucza? zapytał.

Może pan odczyta rzekł Cuss. Ss to figury matematyczne i jakie słowa pisane dziwnymi literami

zapewne po grecku

a pan umie po grecku. Prawda?

Ma się rozumieć potwierdził pan Bunting przecierając okulary z wielkim zafrasowaniem, bo w pamięci została mu taka okruszyna greczyzny, że nie było o czym

mówić. Tak, naturalnie, język grecki może nam dostarczyć wskazówek dodał.

Usiód pan. wygodnie.

Przerzucę naprzód pierwszą księgę

wykręcał się pan Bunting. Trzeba przede wszystkim powziść ogólne wrażenie, a wtedy dopiero badać szczegóły. Rozumiesz, Cuss?

Włożył okulary, utwierdził je na nosie, odkaszlnął i wzywał w duchu jakiej przeszkody,

która by odwróciła uwagę Cussa od tej przeklętej greczyzny. Życzenie pastora spełniło się.

Przeszkoda wynikła. Drzwi otworzyły się raptem.

Obaj podnieśli głowy, spojrzeli i zobaczyli rumiana twarz pod dużym pilniowym kapeluszem.

Czy można dostać piwa? spytał właściciel rumianej twarzy.

Nie odparli obaj dżentelmeni jednogłonie.

W pierwszej sali objanił pan Bunting.

I proszę zamknąć drzwi dodał Cuss niecierpliwie.

Dobrze odparł intruz głosem cichszym, odmiennym od tego, w którym postawił pierwsze pytanie.

To pewnie jaki marynarz

rzekł pan Bunting, gdy drzwi się zamknęły.

Być może odparł Cuss. Ale kto słyszał tak wchodzić obcesem! Aż podskoczyłem na krzele.

Pan Bunting umiechnął się drwiśco, jak gdyby sam nie był także podskoczył.

A teraz trzeba się zabrać do tych ksiżzek

rzekł z tłumionym westchnieniem.

Chwilkę jeszcze

rzekł Cuss. Podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

Teraz

jestemy zabezpieczeni od natrętów owiadczył.

W tej chwili kto kichnął.

Jedno nie ulega wątpliwoci mówił pan Bunting przysuwając się bliżej do Cussa

to, że w ciągu ostatnich paru dni działy się w Iping rzeczy dziwne

bardzo dziwne

Naturalnie ja nie wierzę w tę niewidzialność.

To bajka przyznał Cuss. Faktem jest wszelako, że zajrzałem w jego rękaw i że

tam była próżnia

Czy pan tego zupełnie pewien? To było może złudzenie wzroku

halucynacja

Zdarza się..

Nie będę znowu dowodził

Już raz przekonałem, pana rzekł Cuss z widocznym urażem. Chodzi teraz o te ksiżki. Tak, to są litery greckie.

Wskazał na rodek pierwszej kartki. Pan Bunting poczerwieniał i przysunął twarz bliżej, jak gdyby nie mógł dojrzeć liter pomimo okularów.

Jego wiadomości w zakresie języka greckiego były prawie żadne, ale poczciwy pastor wyobrażał sobie, że wszyscy jego parafianie i znajomi przypuszczają, iż czytuje greckich i hebrajskich autorów w oryginale.

No i trzeba takiego zdarzenia! Przyznać się? Czy też udawać dalej? Nie tak to łatwo!

Nagle kto schwycił go za kark. Jaka silna ręka przyciskała mu brodę do stołu.

Nie ruszajcie się, poczciwcy szepnął jaki Głos a nie, to wam łby porozbijam!

Pastor spojrzał na Cussa i w oczach jego zobaczył odbicie własnego strachu.

Przykro mi, że muszę się z wami obejść brutalnie mówił Głos ale inaczej nie mogę. Odkądże to przywłaszczycie sobie prawo zaglądania do zeszytów i notatek Judzi uczonych?

Dwie brody stuknęły jednocześnie o stół, dwie szczęki zgrzytnęły.

Odkądże to mówił dalej Głos pozwalacie sobie wchodzić do cudzego pokoju i plądrować w cudzych rzeczach? Gdzieżecie podziali moje ubranie? Słuchajcie!

Okna są

zamknięte, a ja wyjąłem klucz z zamka. Jestem silny, przy tym niewidzialny, co także jest siłą

nie lada, i mam pod ręką młotek. Mogę was zabić na miejscu

Jeżeli chcecie, żebym was

wypuścił, to musicie mi przyrzec, że będziecie trzymali języki za zębami i że zrobicie, co wam każę.

Pastor i felczer spojrzeli po sobie.

Dobrze

szepnął pan Bunting;

Dobrze

zawtórował pan Cuss. Niewidzialna ręka przestała ich ciskać za karki.

Obaj podnieśli głowy i chcieli wstać.

Proszę siedzieć na miejscu rzekł Niewidzialny Człowiek.

Podsunął młotek pod nos jednemu i drugiemu.

Kiedym wchodził do tego pokoju, sądziłem, że jest nie zajęty. Spodziewałem się oprócz ksiżek i zapisków znaleźć tu jeszcze moje ubranie mówił. Gdzież się podziało?

Potrzebuję koniecznie odzieży. Dni są ciepłe, ale wieczory i noce chłodne.

Zabieram także

moje ksiżki

ROZDZIAŁ XII

NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK MIOTA SIĘ

Opowiadanie musi być przerwane w tym miejscu, a dlaczego, zaraz się dowiemy.

Gdy w bawialni działy się dziwne rzeczy, a pan Huxter przyglądał się panu Marvelowi palścemu fajeczkę przy bramie od podwórza, w izbie szynkowej pan Hall i Teddy Henfrey rozprawiali o tym, co zajmowało żywo całą wioskę.

Nagle zatrzęsły się drzwi od bawialni.

Hola! zawołał Henfrey.

Hola! odpowiedziano z wewnątrz.

Pan Hall miał umysł bardzo powolny, jednak zauważył, że co się tam musiało stać.

Obaj z Teddy m podeszli do drzwi. Henfrey przyłożył ucho.

Co niedobrego

szepnął Hall.

Henfrey kiwnął głową. Doleciał ich odgłos rozmowy prowadzonej po cichu.

Co się stało? spytał Hall, dobijając się do drzwi.

Rozmowa nagle ucichła, potem rozległy się znowu szepty, wreszcie krzyk: Nie!

nie!

Słysząc było borykanie się i przewracanie stołków. Wreszcie zapanowała cisza.

Co tam, u licha? rzekł Henfrey półgłosem.

Co się z wami dzieje? pytał Hall.

Wszystko dobrze

Proszę nie przeszkadzać

odpowiedział pastor, ale jakim

zmienionym głosem.

Dziwne! szepnął Henfrey.

Dziwne! powtórzył Hall.

Powiedział: Nie przeszkadzać. Nie słyszałem.

I kichnął rzekł Henfrey.

Umilkli. Rozmowa za drzwiami była cicha i urywana.

Nie mogę

mówił pan Bunting. Powiadam panu, że tego nie zrobię

Co on mówi? spytał Henfrey.

Powiada, że czego nie zrobi odparł Hall. Nie wiem tylko, czy to powiedział do nas.

To wstyd! oburzał się za drzwiami pan Bunting.

Wstyd! podchwycił pan Henfrey słyszałem wyranie.

Kto teraz mówi? pytał Hall. Czy słyszać?

Zdaje się, że Cuss

odparł Henfrey.

W bawialni głosy umilkły, ale szamotanie nie ustało.

Zdaje się, że zdejmując ze stołu serwetę oznajmił Teddy.

Wtem za szynkwasem ukazała się pani Hall. Mąż dawał jej znaki, żeby się nie ruszała. Ma się rozumieć, wywołało to skutek przeciwny.

Co tam podsłuchujesz? spytała głośno męża. Nie masz nic lepszego do roboty?

Hall starał się nakazać jej milczenie wymownymi gestami, ale żona była uparta.

Podniosła

głos jeszcze bardziej.

Hall i Henfrey przydreptali na palcach do szynkwasu, aby objąć gospodyni, o co chodzi.

W pierwszej chwili nie chciała w tym upatrywać nic dziwnego. Następnie kazała milczeć mężowi. Henfrey opowiadał. Wysłuchawszy go dowodziła, że pewnie pastor z felczerem przysunęli krzesła do stołu, żeby odczytać księgi.

Słyszałem, jak mówił wstyd. Słyszałem! wołał Hall.

I ja także! przytwierdził Henfrey.

Cicho! szepnął Hall. Otwierajś okno!

Jakie okno? spytała żona.

Okno w bawialni rzekł Henfrey.

Wszyscy troje nadstawili uszu. Pani Hall patrząc przez okno izby szynkowej widziała naprzeciwko sklep Huxtera. Nagle drzwi od sklepu otworzyły się, wyleciał przez nie sam Huxter i wymachując rękoma wołał:

Trzymajcie! Łapcie! Złodziej! Pędził w stronę podwórza.

Jednocześnie z bawialni doleciał hałas i trzask zamykanego okna.

Hall i Henfrey wybiegli na ulicę. Kto im mignął na zakręcie drogi, uciekając w stronę gocińca, a po chwili pan Huxter zawisł w powietrzu, wywrócił koziołka i padł

twarzš na

ziemię.

Zbiegło się mnóstwo ludzi i patrzyli ciekawie na to widowisko. Pan Huxter był oszołomiony. Hall i paru wieniaków nie zważajšc na te karkołomne sztuki pędzili za uciekajšcš postaciš. Krzyczeli wniebogłosy, ale na nic im się to wszystko zdało: pan Marvel zniknšł za murem opasujšcym kociółek. Byli pewni, że to Niewidzialny Człowiek przybrał znowu postać dostrzegalnš dla ludzkiego oka, więc tym zawzięciej rzucili się za nim w pogoń.

Hall ubiegł nie więcej jak trzydzieci kroków, gdy raptem krzyknšł, uskoczył w bok i runšł jak długi na ziemię czepiajšc się jednego z wieniaków i pocišgajšc go za sobš.

Dostał jakby

obuchem w piersi. Drugi wieniak rozcišgnšł się takŹe jak długi. Chciał się podnieć, ale co go dusiło za ramiona i właczało w piasek.

Właciciel sklepiu galanteryjnego wybiegł przed dom i zdziwił się niepomiernie widzšc trzech ludzi leŹšcych na drodze. CzyŹby się popili?

OberŹystka została na stanowisku przy ladzie; długie dowiadczenie nauczyło jš bowiem, że ciekawoć ciekawociš, a interes interesem.

Po chwili drzwi od bawialni otworzyły się i pan Cuss nie zwracajšc uwagi na gospodynię wybiegi na ulicę.

Trzymajcie go! wołał odbierzcie mu zawiništko !

Nie wiedział wcale o istnieniu pana Marvela, któremu Niewidzialny Człowiek podał przez

okno ksiŹŹki i węzelek.

Twarcz pana Cussa wyraziła gniew i stanowczoć, ale jego strój szwankował

od dołu.

Zabrał moje spodnie, a pastorowi całe ubranie!

Biegnąc tak i wrzeszcząc felczer potknął się o leżącego na ziemi Huxtera. Chciał skrócić

na gociniec, ale kto mu nastąpił na nogę. Pan Cuss syknął z bólu. Raptem upadł na rękę, tak

że znalazł się na czworakach. Podniósł się natychmiast, próbował jeszcze gonić swe spodnie, ale został pociśnięty za włosy tak, że stracił ochotę do dalszej walki z niewidzialnym przeciwnikiem.

Skręcił ku gospodarce. Zawróciło też kilkunastu ludzi spłoszonych widokiem towarzyszy, którzy padali na ziemię jak ulęgałki. Wtem do uszu pana Cussa doleciał okrzyk wciekłoci unoszący się ponad ogólną wrzawę. Felczer poznał głos Niewidzialnego Człowieka.

Potem

usłyszał jęk. Wpadł do bawialni.

On wraca! Bunting, chowaj się! krzyknął zdyszany.

Pan Bunting stał przy oknie i próbował owinąć się w gazetę.

Kto wraca? zapytał.

Niewidzialny Człowiek

odparł Cuss biegnąc do okna. Uciekajmy! szepnął.

Znowu nas poturbuje

Za chwilę był już na łśce.

Pastor usłyszawszy, że się biją w izbie szynkowej, wybrał jedną z dwu przykrych ostateczności. Przeskoczył przez okno, owinął się gazetą od stóp do głów i biegł

przez wie,

jak mógł najszybciej.

*

Od chwili gdy Niewidzialny Człowiek wyciśł okrzyk wciekłoci, a pan Bunting dokonał swojej słynnej ucieczki przez okno, niepodobna opisać, co się działo w Iping.

Niewidzialny Człowiek chciał może pierwotnie osłonić ucieczkę pana Marvela z książkami i odzieniem, ale wśród szamotania się poniósł szwank na niewidzialnym ciełe i to go tak rozwcieczyło, że pastwił się po prostu nad biednymi obywatelami Iping: kśsał ich, kopał, przewracał, deptał po nich nogami, znęcał się bezkarnie.

Ulica zabrzmiała piskiem, jękiem; chowano się do domów, zatrzaskiwano drzwi za sobś.

Niebawem wszystko ucichło. Na placu boju nie pozostało żywej duszy oprócz Niewidzialnego Człowieka, jeli ten notabene miał duszę.

Zabawiał się naprzód wybijaniem, okien w oberży, a gdy tego dokonał, zdjśł ze słupa latarnię i cisnśł jś w okno pana Huxtera. On też zapewne poprzecinał druty telegraficzne utrzymujśce komunikację z Adderdean.

Po dokonaniu tych wielkich czynów zniknśł bez ladu; odtśd nie dał się już nigdy we znaki mieszkańcom Iping.

Upłynęły dobre dwie godziny, zanim nabrali otuchy i omielili się wyrzeć ze swoich kryjówek.

ROZDZIAŁ XIII

PAN MARVEL PRÓBUJE SIĘ WYZWOLIĆ

Podczas gdy z nadejciem, zmroku mieszkańcy Iping powrócili do przerwanej zabawy, po drodze do Bramblehurst ciężkim krokiem szedł człowiek w pomiętym pilniowym kapeluszu, niosśc na plecach węzełek, a pod pachś trzy grube książki obwiśzane szeroka gumś.

Twarz pucółowata i czerwona wyrażała zmęczenie; wędrowiec szedł krokiem przypieszonym, niespokojnym, co chwila przysiadał i kurczył się, jak gdyby go przygniatała niewidzialna ręka. Towarzyszył mu Głos.

Jeżeli raz jeszcze spróbujesz mi się wymknąć! groził.

Litoci! jęczał pan Marvel. Mam już całe ramię w sińcach

Jeżeli znowu spróbujesz mi się wymknąć zagrzmiał Głos to cię zabiję na miejscu!

Nie próbowałem uciekać

tłumaczył się pan Marvel. Słowo daję, że nie próbowałem

Puć mnie na chwilę

Nie głupim! Uciekniesz

Dość już i tak biedy. Tamci odkryli moją tajemnicę.

Dotychczas nikt się nie domyślał, że jestem niewidzialny. Co ja teraz pocznę?

Co ja teraz pocznę? zawtórował mu pan Marvel z rozpaczą.

Tajemnica wyjdzie na jaw. Ogłoszą ją w dziennikach. Zaczną mnie szukać i wypatrywać. Wszyscy się będą mieli na baczności.

Tu Głos poczęł kląć obrzydliwie. Twarz pana Marvela wyrażała czarna rozpacz.

Nie zwalniam kroku! zawołał Głos gniewnie. A nie upuć mi moich księzek.

Pamiętaj, że musisz mnie słuchać we wszystkim. Jesteś lepszym narzędziem w moim ręku.

Głupie to narzędzie, ale skoro innego nie ma

Tak, jestem głupim narzędziem potwierdził pan Marvel z desperacją.

Jeste! huknął Głos.

Nie mogłem znaleźć głupszego. Sił mi brak.

Doprawdy?

A przy tym brak mi odwagi. Nie jestem stworzony do takiej roboty

Ja ci dodam bodca.

To się na nic nie zda. Nie potrafię ci pomóc. Moja wrodzona głupota zawsze pokpi

sprawę.

Sam na tym wyjdiesz najgorzej

Chciałbym już leżeć w grobie.

Tymczasem piesz się; a nie, to dostaniesz po łbie.

Ciężko mi! jęczał pan Marvel.

Ale utyskiwania na nic się nie zdały. Spróbował z innego tonu.

Co ja na tym zyskam? spytał zuchwale.

Co ty zyskasz, mało mnie obchodzi; wiem tylko, co oberwiesz, jeżeli mi się zechcesz sprzeciwić.

Powiadani ci, że nie będziesz miał ze mnie pociechy.

To już moja rzecz. Postaram się, żeby mi się przydał, a w jaki sposób, zobaczymy.

W chwili tej poza drzewami zarysowała się wieżyczka wištyni.

Będę trzymał rękę na twoim ramieniu mówił Głos. Id prosto przed siebie i nie próbuj uciekać. Sam na tym wyszedłby najgorzej.

Wiem, wiem, niestety

westchnął pan Marvel. Wędrowiec w pomiętym kapeluszu minął wioskę i zapucił się w ciemność już dal gocińca.

ROZDZIAŁ XIV

W PORTSTOWE

Nazajutrz o dziesiątej z rana pan Marvel, nie umyty, nie uczesany, ze ładami zmęczenia na twarzy, siedział przed małą szynkownią na przedmieciu PortStowe.

Przy nim na ławce leżały książki obwieszane już nie szelkami pastora, lecz sznurkiem.

Zawiniśtko pozostało w lasku sosnowym za Bramblehurst, a to skutkiem zmiany planów

Niewidzialnego Człowieka.

Choć nikt nie zwracał wcale uwagi na pana Marvela, był on jednak bardzo niespokojny.

Co chwila zanurzał ręce w kieszenie.

Przesiedział z dobrš godzinę. Wreszcie z gospody wyszedł stary marynarz z gazetš w ręku i usiadł przy nim.

Ładny dzień

zagadnšł.

Pan Marvel obejrzał się wylękniony.

Pogoda odpowiednia do pory roku

rzekł znowu po chwili marynarz.

Istotnie

potwierdził pan Marvel.

Majtek spojrzał na stare i zakurzone buty, na brudnš twarz, potem rzucił okiem na ksišżki leżšce przy oberwańcu.

W chwili gdy zbliżał się do pana Marvela, usłyszał brzęk złota chowanego popiesznie do kieszeni. Zdziwiła go sprzeczność pomiędzy wyglšdem tego człowieka a jego zamożnościš.

Był z natury ciekawy, więc postanowił tę rzecz zbadać.

To pańskie ksišżki? spytał sšdzšc, że tu znajdzie klucz do zagadki.

Pan Marvel spojrzał na niego ze strachem.

Tak odpowiedział.

Czasami w ksišżkach bywajš dziwy owiadczył marynarz.

Zdarza się

mruknšł pan Marvel.

Aż takich ksišżek wychodž potem rzeczy niesłychane.

To prawda przyznał pan Marvel i obejrzał się z trwogš.

I w gazetach można wyczytać nadzwyczajności

mówił marynarz.

I to się trafia.

Na przykład w tym dzienniku rzekł majtek.

Taak? zdziwił się pan Marvel.

Jest tutaj jedna niebywała historia

mówił marynarz wpatrując się badawczo w swego interlokutora. Opowiadajś tutaj o jakim Niewidzialnym Człowieku

Alboż to można wierzyć? wtrścił pan Marvel. Gdzież to się stało? W

Hameryce?

Nie, tutaj

rzekł majtek z naciskiem.

Jezu Chryste! krzyknął włóczęga.

Jeżeli powiadam: tutaj ciśgnął dalej marynarz to nie znaczy, żeby w Port

Stowe. Zdarzyło się to w okolicy.

Te słowa sprawiły widoczną ulgę panu Marvelowi.

Niewidzialny Człowiek! Cóż on zrobił?

Okropności! mówił majtek przypatrując się towarzyszowi spod oka.

Okropności,

powiadam.

Już od czterech dni nic czytam gazet

rzekł pan Marvel.

Pokazał się niedaleko stąd, w Iping ciśgnął dalej majtek.

Doprawdy? dziwił się pan Marvel.

Tam się pokazał, ale skąd przyszedł, nie wiadomo. Ot, widzisz pan, tutaj właśnie piszś:

Niezwykłe zdarzenie w Iping. Podobno sś dowody, i to nie byle jakie.

Boże! krzyknśł pan Marvel.

Dziwna to historia. Że prawdziwa, wiadczy o tym duchowny i felczer: obaj widzieli go na własne oczy, to jest nie widzieli właśnie. Zamieszkał w oberży Pod Dylizansem i nikt się nie domyłał, jaki on jest, aż dopiero pobili go w szynku i bandaże mu z głowy pospadały.

Wtedy wszyscy zobaczyli, że nie widać głowy

Zaraz chcieli go schwytać, ale on zrzucił

ubranie tak tutaj piszś i umknśł, ale wpierw borykał się ze wszystkimi i wiele osób poturbował, między innymi konstabla, pana Jaffersa. Ładna historia? Co? Sś nazwiska i wszystkie szczegóły.

Boże wielki! zawołał pan Marvel oglśdajśc się niespokojnie i macajśc pieniśdze w kieszeni. To doprawdy dziwne!

Przyszła mu nowa myl.

Dawniej nie słyszało się o niczym podobnym

mówił majtek. wiat zaczyna chodzić do góry nogami. Coraz gorzej! Coraz gorzej!

Cóż zrobił więcej? spytał pan Marvel.

Jeszcze panu nie dosyć? zawołał majtek.

A czy nie wrócił? Może zniknśł bez ladu? pytał włóczęga.

Umknśł bez wieci przytwierdził marynarz. Czy nie miał broni przy sobie?

badał pan Marvel z widocznym niepokojem.

Nic o tym nie piszś, ale pewno nie miał. Tego by tylko brakowało! Ciarki mnie przechodźś, jak sobie pomyle, że grasuje po okolicy. Piszś tutaj, że uciekł w stronę Port

Stowe. Pomyleć, ile może nabroić! Kto mu przeszkodzi? Może sobie spokojnie krać,

mordować, może przemknść się przez cały kordon policji tak łatwo, jak pan mozesz uciec

przed lepcem. Łatwiej nawet, bo lepcy to sprytnie chłopy, mają dobry węch! Co tu gadać!

Taki może się nawet darmo upijać

To pewna, że nie byle kto potrafi sobie z nim poradzić

przyznał pan Marvel.

Oglądał się co chwila, nasłuchiwał łowić uchem każdy szelest. Widoczne było, że się namyla, że jest na drodze do powzięcia ważnego postanowienia.

Obejrzał się raz jeszcze, nastawił ucha, wreszcie nachylił się i szepnął: Ja co wiem o tym Niewidzialnym Człowieku

Wiem z pewnego ródła

Doprawdy? zawołał majtek.

Słowo największe! zaklął się pan Marvel.

Czy możesz mi pan opowiedzieć?

To są rzeczy straszne! Posłuchaj pan!

Nagle pan Marvel zmienił się na twarzy.

Ojej! krzyknął zrywając się na równe nogi.

Co panu jest? pytał zaciekawiony majtek.

Złb mnie zabolął! rzekł pan Marvel i przyłożył rękę do ucha, po czym wziął księżki.

Trzeba ruszać dalej owiadczył.

Miałe mi pan właśnie opowiedzieć o tym Niewidzialnym Człowieku dopominał się

marynarz.

Pan Marvel wahał się widocznie.

To bajka! szepnął jaki Głos.

To bajka

powtórzył pan Marvel.

Przecież stoi w gazecie! oburzył się majtek.

Mało to kłamstw piszś? dowodził pan Marvel. Wiem nawet, kto tę bajkę wymyślił, i mogę pana upewnić, że takiego Niewidzialnego Człowieka nie było i nie ma.

A jednak piszś o nim w gazecie

Powiadam panu, że kłamiś.

Marynarz kiwał głowś.

Czemuż, u licha, mówił pan przed chwilś, że to prawda i że możesz mi co powiedzieć o tym Niewidzialnym Człowieku? To były kpiny? Co? Ja nie pozwolę drwić z siebie!

Pan Marvel skrzywił się okropnie, a potem skurczył, jak gdyby go kto przygniatał.

Nauczę ja pana szacunku dla porzśdnych ludzi! krzyczał majtek. Patrzcie go! Jaki dowcipni!

Proszę mi nie ubliżać! wołał pan Marvel.

Ja ci jeszcze lepiej ubliżę! krzyknśł majtek grożśc pięciś.

Chod! szepnśł znowu jaki Głos i w tejże chwili pan Marvel zerwał się z ławki, jak gdyby go podrzucono w góre, i oddalił się spieszonym krokiem.

Chciał mnie na dudka wystrychnść! wołał marynarz biegnśc za nim. Ja ci pokażę, co to żarty ze mnś! Uciekaj, uciekaj

Potrafię cię dogonić!

Nie zdołał jednak.

Pan Marvel zniknśł mu na rogu ulicy. Marynarz stał chwilę, wygrażał pięciś, wreszcie zawrócił do szynku.

Nastraszyłem go! mrucał. Odechce mu się kpinek. Stało przecież wyranie w gazecie!

Nagle oczom majtka przedstawił się niezwykle widok. Wzdłuż muru sunęła garć pełna pieniędzy. Chciał porwać pieniśdze, ale dostał kułakiem w piersi i przewrócił się jak długi.

Gdy się podniósł, ręka z pieniędzmi już znikła.

Nasz marynarz był łatwowierny, jak mielimy sposobność się przekonać, jednakże oczom własnym wierzyć nie chciał.

Tymczasem nie było to wcale złudzenie zmysłów. Widzieli tę garć z pieniędzmi wszyscy po drodze, nawet ludzie tak trzewi, jak urzędnicy banku, właściciele sklepów, restauracji.

Drzwi były wszędzie pootwierane z powodu pięknej pogody, a w każdych drzwiach stał przynajmniej jeden człowiek. Przed oczyma wszystkich migało to złoto ciskane w garci.

Ten i ów próbował wytrścic je z ręki zawieszanej w powietrzu. Każda taka próba kończyła się

rozbiciem nosa o bruk uliczny.

Pieniśdze, choć tego nikt nie widział, zostały wreszcie przelane do kieszeni owego jegomocia w przydeptanych butach i w wytartym pilniowym kapeluszu.

Dopiero w dziesięć dni potem, słyszęc o wypadkach w Burdock, marynarz sprzed oberży zrozumiał, że Niewidzialny Człowiek otarł się wtedy o niego

ROZDZIAŁ XV

CZŁOWIEK UCIEKAJĄCY PRZED NIEWIDZIALNĄ POGONIĄ

Wczesnym wieczorem doktor Kemp siedział sobie w swojej pracowni. Był to miły pokój o trzech oknach wychodzących na północ, na zachód i południe; ciany pokryte były od dołu do sufitu niemal ksiżkami na półkach i w szafach. Przy oknie zachodnim stało ogromne biurko, przy północnym mikroskop, luneta i słoiki z preparatami w spirytusie.

Doktor pracował przy lampie, chociaż na dworze było jeszcze jasno, ale okna pozostawił otwarte. Kemp był młodzieńcem wysokim, blondynem, z włosami tak jasnymi, że niemal białymi; pisał właśnie dzieło, za które miał uzyskać dyplom członka Królewskiej Akademii Nauk.

Oderwał wzrok od papieru i patrzył przez okno podziwiając zachodzące słońce.

Nagle

uwagę jego zwrócił czarno odziany mężczyzna zbiegający z pagórka, na którym stał

dom

doktora.

Jeszcze jeden osioł

pomyślał Kemp. Gotów wbiec tutaj jak tamten, aby z wrzaskiem i strachem oznajmić, że Niewidzialny Człowiek się zbliża. Doprawdy, można by

przypuścić, że żyjemy w trzynastym wieku.

Doktor podszedł do okna.

A to mu dopiero pilno! myślał patrząc na uciekającego. pieszy się, a za ledwie

może nogami przebierać, jak gdyby miał pełne kieszenie ołowiu

Po chwili mieszkańcy innych domków stojących na tymże pagórku ujrzeli także ową postać. Ukazywała się doktorowi trzykrotnie pomiędzy sztachetami, wreszcie zakrył ją

wyższy parkan.

Jaki wariat! szepnął doktor Kemp wracając do swego biurka.

Na twarzy uciekającego malował się nie obłęd, lecz strach; biegł spocony, zziębnięty, a

biegnąc brzęczał jak sakiewka pełna złota. Nie patrzył ani na prawo, ani na lewo, tylko prosto

przed siebie, w stronę ulicy, gdzie zapalano już lampy.

Każdy, kto go mijał, oglądał się niespokojnie podejrzewając w nim złodzieja.

Nagle przebiegający drogą pies podwinął ogon pod siebie, zaskomlał, zawył i uciekł na

pobliski dziedziniec, a jednocześnie rozległo się sapanie; i to niewidzialne sapanie wraz z tętentem kroków, również niewidzialnych, pędziło z góry płosząc wszystkich, którzy je napotkali.

Zamykano domy, zaryglowywano drzwi wołając: Niewidzialny Człowiek! Niewidzialny Człowiek!

Pan Marvel on to bowiem był owym zbiegiem zziąjanym i brzęczącym jak sakiewka usłyszał te krzyki za sobą i struchlał. Był właśnie w połowie pagórka.

Wiedząc o zjawieniu się Niewidzialnego Człowieka lotem strzały biegła po mieście, a na tę wieść zamykały się wszystkie drzwi, okna i okiennice zaległa pustka.

ROZDZIAŁ XVI

POD WESOŁYM CYKLISTĘ

Oberża „Pod Wesołym Cyklistą” otwiera swe gościnne podwoje u stóp wzgórza, tam, gdzie zaczyna się tor tramwajowy. Oberżysta rozprawiał żywo o koniach z bladym dorożkarzem; opodal czarny, brodaty mężczyzna zajadał chleb z serem i popijał

liche wino,

wiodąc nie mniej żywą rozmowę z policjantem.

Co to za krzyki?

rzekł nagle dorożkarz uchylając brudnej firanki, aby zobaczyć,

co się dzieje.

Kto pędził z góry.

Zapewne pożar!

zawołał wylękniony oberżysta.

Kroki zbliżały się, wtem ktoś pchnął drzwi i do oberży wpadł pan Marvel, splakany,

rozczochrany, bez kapelusza, z oddartym kołnierzem od kurtki. Próbował zaniknąć drzwi od rodka, ale nie mógł ich dociśnąć.

Goni mnie!

wołał. Goni mnie Niewidzialny Człowiek

Na miłość boską, ratujcie!

Zamknąć drzwi!

krzyknął policjant. Kto goni?

Co łaża hałas?

Zbliżył się do drzwi, przyciśnął je; stawiały opór, jak gdyby kto chciał je otworzyć z zewnątrz. Brodaty jegomość przyszedł mu na pomoc. Drzwi zostały zamknięte i zaryglowane.

Nie puszczajcie go, na miłość boską!

błagał pan Marvel ocierając zapłakane oczy

jedną ręką, a trzymając książki w drugiej. Nie puszczajcie go!

Zamknijcie mnie gdzie

na cztery spusty

On mnie ciga

Uciekłem przed nim

Mówił, że mnie zabije, i z pewnością zabije!

Jeste pan tutaj bezpieczny

uspokajał go brodac. Widziałe, że zamknąłem drzwi i zasunąłem rygiel. Czego się pan boisz?

W chwili tej kto zaczął się dobijać do drzwi.

Kto tam?

krzyknął policjant. Pan Marvel trząsł się jak w febrze.

On mnie zabije!

bełkotał. Ma nóż

Na miłość boską, ratujcie!

Chod pan tutaj

rzekł oberżysta i podniósł klapę szynkwasu.

Pan Marvel zastawił się tš przegrodš.

Nie otwierajcie

prosił. Zlitujcie się, nie otwierajcie!

Gdzie ja się ukryję?!

A więc to Niewidzialny Człowiek?

pytał brodacz. Słyszeliśmy już o nim.

Nagle okno prysnęło, rozbite na drobne kawałki. Z ulicy doleciały krzyki i odgłos
przypieszonych kroków. Ludzie uciekali przed tym nieproszonym gościem.

Policjant stał

przy drzwiach, oberżysta za ladš, pan Marvel był już zamknięty w pokoju za szynkowniš.

Po chwili uspokoiło się zupełnie. Policjant chciał otworzyć drzwi.

Nie trzeba się z tym pieszyć

odradzał blady dorożkarz. Jak się tu zakradnie, to

go już nie wykurzymy

Gdyby się zakradł, znajdzie odpowiednie powitanie

mówił brodacz wyjmujšc rewolwer z kieszeni. U nas, w Ameryce, nikt nie chodzi bez rewolweru.

A my jesteśmy w Anglii i do ludzi strzelać nie wolno

zapowiedział

policjant.

Będę mierzył w dół, między nogi owiadczył brodaty Jankes.

Na zewnątrz panowała cisza. Po kwadransie kto znowu poruszył klamkę z zewnątrz, ale za drzwiami rozbrzmiewał głos znanego dorożkarza. Wpuszczono go do izby. W drzwiach za

szynkwasm ukazała się rozczochrana głowa.

Czy wszystkie drzwi zamknięte? pytał szeptem pan Marvel. On z pewnością krąży wokół domu i czatuje, żeby się tu wliźnąć. Chytry jest jak wąż. Z nim trudna rada

Trzeba pozamykać wszystkie drzwi! zawołał oberżysta i wybiegł.

Po chwili wrócił z nożem w ręku.

Drzwi od podwórza były otwarte! oznajmił ze strachem.

Może się już zakradł do domu

szepnął blady dorożkarz.

W kuchni go nie ma mówił oberżysta. Siedzą tam dwie służące. Dłgam wszędzie tym oto nożem

Kobiety mówisz, że nie słyszały żadnego szelestu.

Wśród ogólnego strachu po wejściu drugiego dorożkarza zapomniano zaryglować drzwi od izby szynkowej.

Nagle otworzyły się z hałasem. Marvel, stojący za ladą, przykucnął na ziemi.

Brodaty

Jankes chwycił rewolwer, wystrzelił zwierciadło rozbryznięło się w drobne kawałki.

Pan Marvel szamotał się z niewidzialnym zapanikiem przy drzwiach prowadzących do kuchni, wreszcie wpadł do niej głową naprzód. Policjant i blady dorożkarz podszli mu na pomoc.

Złapałem go! krzyknął nagle ten ostatni. Oberżysta podbiegł i tłustymi palcami namacał jakie ramiona.

Tutaj! Tutaj! wołał.

Pan Marvel, korzystając z odsieczy, zdołał się wysunąć z ręk swego przeladowcy i próbował wyliznąć się pod nogami walczących. Bójka toczyła się już w kuchni, przy drzwiach na podwórze.

Po raz pierwszy dał się słyszeć głos Niewidzialnego Człowieka. Syknął, gdyż policjant nastąpił mu na nogę. W tejże chwili uczył się jego pięci. Tymczasem drzwi do bawialni uchylały się cichutko i pan Marvel znalazł za nimi schronienie.

Zapanicy pozostali w kuchni; zmiarkowali, że już nikt nie stawia im oporu.

Zniknął
dziwił się brodac. Którędy mógł wyjść?
Tędy
objanął policjant wysuwając głowę na podwórko.
wisnął mu nad głowę kamień, ale go nie dosięgnął, W kierunku rzuconego pocisku padła jedna kula, potem druga, trzecia i czwarta z rewolweru Jankesa.

Niech kto wyjdzie z latarni i obszuka podwórko. On tam z pewnością leży

rzekł

brodac wystrzeliwszy ostatni nabój.

ROZDZIAŁ XVII

GOĆ DOKTORA KEMPA

Doktor Kemp pracował spokojnie. Nagle drgnął. Doleciał go odgłos strzałów.

Co tam te osły wyprawiają? Że też nie można mieć spokoju!

Zbliżył się do okna wychodzącego na południe i wyrżał. Ludzie gromadzili się dokoła oberży Pod Wesołym Cyklistą.

Patrzył chwilę, wreszcie przeniósł wzrok na miasteczko; poza nim, na morzu, jak gwiazdy

wieciły latarnie okrętów. Kemp pucił wodze mylom nie majšcym nic wspólnego z wypadkami rozgrywajšcymi się w Burdock. Wreszcie otrzšsajšc się z zadumy powrócił do pracy.

Pisał z godzinę, a może i więcej, gdy nagle rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

Kemp nadstawił ucha. Słyszał, jak służsca otwierała drzwi, i spodziewał się, że wejdzie oznajmiajšc gościa, ale nie ukazała się wcale.

Ciekaw też jestem, kto dzwonił?

pomyślał Kemp.

Chciał się znowu zabrać do roboty, ale nie mógł. Wyszedł na schody i przechylajšc się przez poręcz zobaczył w sieni służsčš.

Czy to był list? spytał.

Nie, proszę pana odparła. Dzwonił zapewne jaki łobuz, bo jak poszłam otworzyć, to już nikogo nie było.

Jestem dzi niezwykle rozstrojony

myślał Kemp. Wrócił do pracowni, poczł

pisać i niebawem pogršzył się zupełnie w swej robocie. Ciszę przerywało tylko tykanie dużego ciennego zegara.

Była już druga, gdy Kemp wstał od biurka. Ziewnął, przecišgnł się i poszedł do swego sypialnego pokoju na górę. Zdjął już był surdut i kamizelkę; nagle zachciało mu się pić. Wził więc i zszedł do jadalnego pokoju po syfon z wodš sodowš i butelkę koniaku.

Badania

naukowe zaostrzyły w doktorze zmysł spostrzegawczy; wracajšc na górę zauważył ciemną

plamę u stóp schodów. Zaciekawiony nachylił się i dotknł owej plamy. Była to krew, już skrzepła. Szedł na górę przypatrujšc się stopniom schodów. Czekąło go nowe zdziwienie.

Klamka u drzwi sypialnego pokoju była także zabrudzona krwiś.

Obejrzał swoje ręce. Były czyste. Teraz dopiero przypomniał sobie, że wchodząc po raz pierwszy do sypialni zastał drzwi otwarte, tak że wcale klamki nie dotykał.

Wszedł krokiem

stanowczym, pewnym, gotów w razie potrzeby stawić czoło wszystkiemu, co go mogło spotkać za tymi drzwiami.

Dywanik przed łóżkiem był także obryzany krwiś, a kołdra uchylona. Doktor nie spostrzegł tego za pierwszym razem, bo wtedy podszedł do toalety, nie za do łóżka. Teraz

odsłonił kołdrę: na materacu były wklęnięcia, jak gdyby kto na nim siedział.

Wtem zdało mu się, że słyszy przyciszony głos.

Toż to Kemp!

zawołał ów Głos.

Ale doktor nie wierzył w duchy ani w niewidzialne głosy. Rozejrzał się po pokoju, nie spostrzegł jednak nic oprócz tego, co już był zauważył.

Wtem usłyszał kroki zmierzające do umywalni.

Najuczęśni ludzie w głębokich zakłtkach duszy ukrywają pewne przeszdy. Kemp zamknął drzwi, postawił syfon i butelkę na nocnym stoliku. Nagle zobaczył okrwawionš szmatę wiszącš w powietrzu. Chciał zbliżyć się, dotknąć jej, bo oczom, własnym nie wierzył, lecz w tejże chwili usłyszał nad uchem przyciszony głos.

Kemp!

mówił ten Głos.

Doktor ze zdziwienia otworzył usta.

Nie bój się

szeptał Głos ja jestem niewidzialny.

Kemp milczał; nie mógł oderwać oczu od bandaża.

Niewidzialny Człowiek?

powtórzył. Przypomniął sobie historię, która mu się wydawała tak mieszna.

Ssdziłem, że to kłamstwo

rzekł. Czy jeste obwiřzany bandażem?

Tak odpowiedział Głos.

To chyba żarty

zawołał Kemp przysuwajřc się do okrwawionej szmaty. Jego ręka

dotknęła niewidzialnych pleców. Drgnął i zbladł.

Nie bój się, Kemp, na miłość boskř

Zachowaj zimnř krew. Stój!

Ręka chwyciła go za ramię. Uderzył jř z całych sił.

Kemp! zawołał Głos Kemp, nie trać zimnej krwi!

Ręka trzymała go coraz mocniej.

Kemp chciał się oswobodzić z ucisku, ale został obalony na łóżko. Otwierał

usta, aby

wezwać pomocy, lecz zatkano mu je przecieradłem. Miał jeszcze wolne ręce bił

nimi na

olep.

Radzę ci leżeć spokojnie mówił Niewidzialny Człowiek.

Kemp borykał się, wreszcie zaniechał walki.

Nie krzycz, bo będę musiał cię zakneblować ostrzegł go przeciwnik. Ja jestem

naprawdę niewidzialny mówił i potrzebuję twojej pomocy. Nie chcę ci robić krzywdy,

ale gdyby mnie nie słucał, będę zmuszony cię poturbować. Czy mnie nie pamiętasz? Ja

jestem Griffin, z uniwersytetu

Pozwól mi usiść. Obiecuję, że będę siedział spokojnie szepnął Kemp.

Tej probie stało się zadość.

Jestem Griffin, z uniwersytetu

ciśnął dalej Głos. Uczyniłem się niewidzialnym.

Griffin? podchwycił Kemp.

Tak, Griffin odpowiedział Głos. Byłem młodszy od ciebie

Pamiętasz: albinos,

sześć stóp wysokości, barczysty, twarz biała, rumiana, oczy czerwone; ten, co dostał złoty medal za chemię

W głowie mi się mści

Nie rozumiem, co ty możesz mieć wspólnego z Griffinem?

Ja jestem Griffin.

Kemp zastanowił się.

To okropne! rzekł. Jakimiż czarami doprowadziłe się do niewidzialności?

Żadnymi czarami; za pomocą procesu doć jasnego i zrozumiałego.

To okropne! powtórzył Kemp.

Istotnie, w tej chwili to okropne dla mnie. Jestem ranny, zmęczony

Kemp, zlituj się.

Daj mi jeć i pić.

Kemp patrzył na bandaż idący przez pokój, potem taboret zawisł w powietrzu, stanął przy łóżku; siedzenie z kilimka osunęło się o pół cala. Doktor przetarł oczy.

To co lepszego od duchów

rzekł.

Widzę, że nabierasz rozsądku

odparł Głos.

Albo tracę rozum

wtrścił Kemp.

Daj mi trochę koniaku. Upadam ze zmęczenia

Gdzież ty jesteś? Boję się nastąpić ci na nogę; Tutaj? Dobrze. Chcesz koniaku?

Jak ci

mam podać? pytał doktor.

Niewidzialna ręka odebrała mu z ręk kieliszek. Zawisnął w powietrzu. Kemp patrzył na to z niepokojem, a może i ze strachem.

To niewątpliwie hipnotyzm

szepnął. Wmówiła we mnie, że jest niewidzialny

Głupstwo

Posłuchaj mnie

Dzi rano właśnie udowodniłem, że niewidzialność

Mniejsza o to, co udowodnił

Ja tu umieram z głodu i jestem zziębnięty jak pies. Czy

masz jaki szlafrok?

Kemp zakłócił z cicha, ale poszedł do szafy i wyszedł z niej stary pasowy szlafrok.

Czy dobry? zapytał.

Szlafrok został mu wyrwany z ręk, wisiał przez chwilę w powietrzu, potem zaokręglił się, wypełnił, zapiął i usiadł na krzele.

A teraz daj mi skarpetki, pantofle i co do zjedzenia.

Co tylko chcesz; przyznaje, że w życiu nie byłem jeszcze w tak głupiej sytuacji

Wyjął z szuflady żądane przedmioty, po czym zszedł na dół po jedzenie. Wrócił
niebawem

niosąc chleb i krokiety na zimno; postawił talerz na stole przed swym gościem.

. Mniejsza o nóż i widelec rzekł tenże.

Kotlet uniósł się w powietrze.

To dziwne

mruczał Kemp.

Tak, dziwne, że trafiłem właśnie do twego domu. Pierwszy raz dopisało mi szczęście

Przenocuj tutaj. Nie wypędzisz mnie przecież

Jestem tu od trzech godzin.

Wyłumacz mi, jakim sposobem doprowadziła się do

takiego stanu. Pojść nie mogę

A jednak to zupełnie zrozumiałe.

Nalał sobie znowu kieliszek koniaku. Doktor przyglądał się temu nie wierząc własnym
oczom.

Kto cię ranił i dlaczego? zapytał.

To głupia sprawa

Prowadzę ze sobą włóczęgę, oberwańca

Pomaga mi w drodze

Otóż okradł mnie z pieniędzy

Czy i on jest niewidzialny?

Nie. Ale daj mi co do zjedzenia; potem ci wszystko opowiem.

Czy to ty strzelała? spytał Kemp.

Nie ja odparł intruz tylko jaki wariat. Wszyscy się na mnie sprzysięgli

Ale o

tym potem

Daj jeć, Kemp

Pójdę po resztki obiadu.

Gość złożył dowód olbrzymiego apetytu: najadłszy się, poprosił o cygaro. Odgryzł

koniec,

zanim Kemp zdążył mu podać scyzoryk. Podczas gdy palił, usta, gardło i przełyk stały się widzialne jakby przez mgłę. Zabawnie było na to patrzeć!

Co to za rozkosz zaciśgać się dymem! rzekł, puszczając kłęby. Cieszę się, że

trafiłem na ciebie właśnie, Kemp. Musisz mi dopomóc. Jestem w opałach, ale wybrnę, jeśli ty mi podasz rękę. Przeszedłem okropne chwile! Wszystko ci opowiem. Posłuchaj.

Nalał sobie znowu koniaku.

Nie zmieniło się, Kemp mówił choć to już dwanacie lat, jakemy się widzieli po raz ostatni. Jeste zawsze chłodny, systematyczny

Tego mi właśnie braknie

Będziemy

pracowali razem.

Wy tłumacz mi naprzód, jakim sposobem osiągnęła niewidzialność.

Pozwól mi jeszcze odpocząć i zapalić drugie cygaro, potem ci wszystko opowiem.

Kemp nie zaspokoił jednak swej ciekawości. Skaleczone ramię Niewidzialnego Człowieka

spuchło i bolało go coraz bardziej. Nie mógł myśleć o niczym innym, jak o przygodach, które go w dniu tym spotkały. Zaczynał swójś opowieć, ale cişgle odstępował od przedmiotu.

Oburzał się na pana Marvela.

Ten gałgan skorzystał z pierwszej sposobności i uciekł. Źe też ja tego nie przewidziałem! ubolewał. Niech on mi się teraz nawinie pod rękę! Zabrał mi tyle pieniędzy!

Skşdze ty miałe pienişdze? spytał Kemp. Niewidzialny Człowiek milczał długo, wreszcie rzekł:

Tego dzi wytłumaczyć ci nie mogę. Zlituj się, ja już nie spałem od trzech nocy. Muszę się wyspać.

Położ się tu w moim pokoju.

Nie powinienem się kłać, bo on tymczasem ucieknie, ale trudna rada Upadam ze zmęczenia.

Czy jeste ciężko ranny?

Nie; kula drasnęła mnie zaledwie. Chciałbym usnąć, ale się boję

Czego?

Niewidzialny Człowiek przyglşdał się bystro doktorowi Kempowi.

Boję się, żeby mnie nie schwytano we nie rzekł z naciskiem.

Kemp drgnşł.

Głupiec ze mnie! zawołał Niewidzialny Człowiek. Sam ci poddałem tę myl

ROZDZIAŁ XVIII

NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK USYPIA

Pomimo strasznego zmęczenia, pomimo rany Niewidzialny Człowiek nie ufajść słowu Kempa, że uszanuje jego swobodę, obejrzał okna i drzwi, potem klucze od pokoju sypialnego

i od ubieralni. Uspokojony tś lustracjš ziewnł głono.

Żałuję bardzo mówił że nie mogę ci opowiedzieć moich dzisiejszych przygód, ale jestem zupełnie wyczerpany. Dziwnie to brzmi. Prawda? Uwierzyłe już, że można być niewidzialnym? Odkryłem na to sposób. Chciałem go zachować dla siebie. Widzę, że to niepodobna. Potrzebny mi jest sojusznik. Ty jakby do tego stworzony

We dwóch dokonamy wielkich rzeczy. Ale jutro

Dzi muszę się przespać

inaczej będzie po mnie

Kemp stał na rodku pokoju przyglšdajśc się bezgłowemu szlafrokowi.

Więc zostawiam cię

rzekł. To niepojęte

Czy ja tracę zmysły? Czy to sen?

Ale nie, to rzeczywistość nieprawdopodobniejsza od bajki. Potrzebujesz czego jeszcze?

Nie, tylko żeby sobie poszedł.

Dobranoc! rzekł Kemp ciskajśc niewidzialnš rękę.

Skierował swe kroki ku drzwiom. Nagle szlafrok zbliżył się do niego. Pamiętaj rzekł

Głos. Nie spętasz mnie we nie? Nie oddasz w ręce policji? Doktor zbladł.

Wszak dałem ci słowo rzekł.

Wyszedł i zamknł drzwi. Natychmiast klucz został przekrecony w zamku od rodka, potem słyhać było kłapanie pantofli i znowu zgrzyt klucza. Niewidzialny Człowiek zamknł

drzwi od ubieralni.

Kemp stał oszołomiony, pocierał rękš czoło.

Czy wiat oszalał, czy to ja utraciłem zmysły? szeptał. Jakie opętanie wypędziło

mnie z mojej własnej sypialni!

Raz jeszcze spojrzął na zamknięte drzwi.

A jednak to rzeczywistość

Fakt niezbity

Będę miał pewno na karku sińce od jego

palców

Pochylił bezradnie głowę, odwrócił się i zszedł na dół. Zapalił lampę w jadalnym pokoju, wyszedł cygaro i chodził po pokoju.

Niewidzialny? mówił. Czy jest jaka istota niewidzialna? W morzu tak.

Tysiśce

milionów. Wszystkie larwy, wszystkie drobnoustroje

W morzu jest więcej niewidzialnych

stworzeń niż widzialnych

Roi się od nich i w wodzie słodkiej

Nigdy się jeszcze nad

tym nie zastanawiał

Może i w powietrzu

Kto to wie

Gdyby człowiek zrobiony był

ze

szkła, to i wówczas jeszcze byłoby go widać

Popadł w głęboką zadumę. Trzy cygara zasypały dywan popiołem. Wreszcie wyszedł z jadalni do gabinetu i zapalił tam gaz.

Był to pokój niewielki, gdyż Kemp nie utrzymywał się z praktyki. Dzienniki poranne leżały jeszcze nie przejrzone. Wziął jeden i od razu wpadła mu w oczy opowieść o niezwykłym zdarzeniu w Iping.

Ciekaw też jestem, w jaki sposób doszedł do tego stanu

myślał biorąc londyński

St. James Gazette.

Zawierała długi artykuł pod tytułem: Cała wie w Sussex oszalała. Było to przedrukowane sprawozdanie z wypadków w Iping. Przeczytał je raz jeszcze i dowiedział się,

że:

Jaffers, konstabl, padł nieprzytomny, Sklepikarz Huxter, mocno poturbowany, nie może jeszcze dać wiadomości temu, co widział i dowiadczył. Pastor w kłopotliwym, położeniu. Dwie kobiety zachorowały ze strachu. Wszystkie okna potłuczone. Cała ta niewiarygodna historia zapewne wymyślona. Drukujemy z zastrzeżeniem.

Odłożył dziennik.

Dlaczego on uganiał się za tym włóczędzą? Jest niewidzialny i szalony w dodatku

a

może jest nawet zabójcą

Blask witu połączył się z dymem cygara i ze wiatłem gazu. Kemp to siadał, to wstawał i chodził po pokoju. Był zanadto rozdrażniony, aby móc usnąć.

Służka zszedłszy ze swego pokoju zastała go na nogach. Kazał jej nakryć na dwie osoby w pracowni, a potem wrócić na dół i nie przeszkadzać. Chodził po jadalni, dopóki nie

przyniesiono porannych dzienników. Kemp dowiedział się o zajciach ..Pod Wesołym Cyklistą, o panu Marvelu i o przecięciu drutów telegraficznych. Nie można było jednak

zrozumieć, dlaczego Niewidzialny Człowiek wodzi za sobą pana Marvela. gdyż ten nie wspominał o trzech książkach ani o pieniądzach, którymi napchane miał kieszenie.

Kemp odczytał uważnie każdą wzmiankę reporterską, posłał służca po wszystkie dzienniki poranne i la także przejrzał skwapliwie.

Jest niewidzialny myłał. Przy swoim usposobieniu może być bardzo szkodliwy.

Trzeba mu odjąć sposobność do złego. Czy to będzie złamaniem słowa? Nie.

Usiadł przy stole i zaczął pisać. Podarł jeden arkusz, skrelił drugi.

Przeczytał go,

zastanowił się. Potem wziął kopertę i zaadresował ją do pułkownika Adye w Port Burdock.

W tym samym czasie Niewidzialny Człowiek obudził się najwyraniej w złym humorze.

Słychać było jego kroki na górze, potem stuk krzesła ciniętego o ziemię i brzęk tłuczonego szkła.

Doktor pobiegł na górę i zapukał.

ROZDZIAŁ XIX

WYJANIENIA

Co się stało? spytał Kemp, gdy Niewidzialny Człowiek otworzył mu drzwi.

Nic brzmiała odpowiedź.

Słyszałem hałasy.

To był objaw złego humoru

Czy jeste zwykle tak gwałtowny?

Zawsze.

Kemp zbierał kawałki szkła.

Wszystko cię potępia

mówił. Czytałem w gazetach o twoich sprawkach w Iping i tutaj. wiat dowiedział się już o istnieniu swego niewidzialnego obywatela

Nie zna

cię tylko z nazwiska

Niewidzialny Człowiek zakłśł.

Twoja tajemnica wyszła na jaw mówił doktor. Nie wiem, na czym polega; gotów
jestem jednak ci dopomóc

Niewidzialny Człowiek usiadł na łózku.

Chod na niadanie rzekł gospodarz.

Zaprowadził go do swej sypialni.

Zanim cokolwiek postanowimy rzekł muszę wpierw zrozumieć, dlaczego jeste
niewidzialny.

Spojrzał przez okno; usiadł i patrzył na gocia. Bezgłowy i bezręki szlafrok zasłonił się
serwetš; przygotowana zakšska znikaa szybko ze stołu. Kemp, który chwilami powštpiewał
jeszcze we własnš poczytalnoć, przekonywał się znowu, że to prawda, nie za
ułuda chorego
mózgu.

Wszystko to bardzo proste i jasne powiedział Griffin odkładajšc wreszcie serwetę.

Dla ciebie zapewne

wtršcił Kemp.

I mnie z poczštku wydawało się to dziwne

Ale teraz

My dwaj razem dokonamy wielkich rzeczy

Ta myl błysnęła mi po raz pierwszy w Chesilstowe.

Chesilstowe?

Osiadłem, tam po wyjedzie z Londynu. Wiesz, zem przeszedł z medycyny na fizykę.

Pocišgało mnie wiatło.

Taak?

Optyczna gęstość. To cała sieć zagadek sieć, w której łatwo się zaplątać i zbłądzić.

Ponieważ miałem lat dwadzieścia dwa i dużo zapału, więc rzekłem sobie: Powięcę temu życie, bo i warto. Wiesz, jakimi jesteśmy szaleńcami mając dwadzieścia parę lat

Nie wiadomo: czy wtedy, czy potem

wtrącił Kemp.

Jak gdyby nauka dawała człowiekowi szczęście. W każdym razie jednak zabrałem się do pracy i pracowałem jak murzyn. Odkryłem, nowe właściwości wiatła, formułę geometryczną obejmującą cztery wymiary. Głupcy, ludzie zwyczajni, a nawet i matematycy

nie mają pojęcia, co znaczą pewne matematyczne formuły dla badacza fizyki molekularnej.

Moje książki, te, które mi ukradł ów włóczęga, zawierają prawdziwe cuda. Ale nie była to jeszcze metoda, tylko myśl mogła doprowadzić do metody, dzięki której dałoby się bez przemian zasadniczych z wyjątkiem zmian w zabarwieniu zamienić daną substancję na doskonale przezroczystą.

Phi! To ciekawe, ale ja tego nie rozumiem rzekł doktor Kemp.

Zastanów się tylko. Widzialność, ciała zależy od ich reagowania na wiatło.

Pozwól mi

przedstawić sobie elementarne zasady tak, jak gdyby ich wcale nie znał. To wyjdzie moja metoda. Wiesz przecie równie dobrze jak i ja, że każde ciało pochłania wiatło, odbija je albo robi jedno i drugie. Gdyby nie pochłaniało i nie odbijało wiatła, nie byłoby widzialne.

Widzisz nieprzezroczyste czerwone pudełko, albowiem ta barwa odbija czerwone promienie i pochłania inne. Gdyby nie pochłaniała żadnych promieni, lecz wszystko odbijała, byłaby lśniącym białym pudełkiem. Srebrem. Tymczasem szklana kostka, która odbija bardzo mało wiatła, a bardzo wiele go przepuszcza, jest przezroczysta, czyli prawie niewidzialna. Gdy za

włóżysz kawałek zwyczajnego szkła do wody albo lepiej do płynu przezroczystego i gęstszego od wody, szkło zniknie prawie, albowiem wiatło przechodząc z wody do szkła

odbija się od jego powierzchni w bardzo nieznacznej ilości i staje się ono tak niewidzialne, jak kwas węglowy albo wodór w powietrzu.

Tak, to jest zrozumiałe odparł Kemp. Byle sztubak wie już dzi o tym wszystkim.

Oto jeszcze jeden fakt, wiadomy byle sztubakowi. Jeli stłuczemy kawałek szkła i utrzymamy go na proszek, przybiera on biały kolor i staje się widzialny w powietrzu, a to dlatego, że sproszkowanie pomnaża powierzchnię szkła, od której odbijają się promienie wiatła. Jeli jednak wsypimy biały szklany proszek do wody, znika on natychmiast; sproszkowane szkło bowiem i woda mają mniej więcej ten sam współczynnik załamania wiatła. Szkło zatem staje się niewidzialne, jeli zanurzymy je w płynie mającym ten sam współczynnik załamania wiatła. I w ogóle przedmiot przezroczysty staje się niewidzialny, jeli znajdzie się w orodku mającym ten sam mniej więcej współczynnik załamania. Gdy się chwilę zastanowisz, to zrozumiesz, że nawet szkło sproszkowane może zniknąć w powietrzu, jeli jego współczynnik załamania wiatła będzie taki sam, jak współczynnik powietrza. Wtedy bowiem wiatło przechodząc ze szkła w powietrze nie będzie się ani załamywać, ani odbijać.

Istotnie, istotnie potwierdził Kemp ale człowiek nie jest sproszkowanym szkłem

Ależ nie odparł Griffin. Człowiek jest naprawdę przezroczystszy aniżeli sproszkowane szkło.

Bzdury!

I to powiada lekarz! Więc w ciągu lat dziesięciu zapomniał już fizykę?

Przypomnij

sobie wszystkie ciała, które są przezroczyste, a nie wydają się takimi. Papier, na przykład, wyrabiany jest z przezroczystych włókien, a staje się biały i nieprzezroczysty dla tych samych przyczyn, dla których szkło sproszkowane jest nieprzezroczyste i białe. Posmaruj biały papier

oliwś, a stanie się tak przezroczysty, jak szkło. I nie tylko papier, lecz bawełna, wełna, włókna drzewne i koci, i ciało, i włosy, i paznokcie, i nerwy; cały organizm człowieka z wyjątkiem czerwonych ciałek krwi i ciemnego barwnika włosów, wszystko składa się z przezroczystych tkanek. Dzięki temu bardzo niewiele potrzeba, aby uczynić człowieka niewidzialnym dla ludzkich oczu. Po większej części tkanki istoty żywej nie są mniej przezroczyste od wody.

Naturalnie zawołał Kemp. Wczoraj jeszcze myślałem o galaretowatych morskich żyłkach.

A więc rozumiałe, na czym polega moja metoda. Wszystko to przemyślałem i doszedłem do tych wniosków w rok po wyjeździe z Londynu, to jest przed sześciu laty. Ale

zachowałem to dla siebie. Musiałem dokonywać prób w warunkach bardzo niekorzystnych.

Mój profesor, Hobbema, był naukowym rabusiem, złodziejem pomysłów: wciśz wietrzył,

kogo by ograbić. Znasz rozbój panujący w wiecie uczonych. Nie chciałem ogłaszać mojego

odkrycia, aby nie dzielić z nim sławy. Pracowałem zawzięcie, byłem coraz bliższy urzeczywistnienia mej teorii. Nie mówiłem o tym nikomu, chciałem od razu olnić wiat

moim wynalazkiem i wsławić się jak nikt dotąd. Przypadkowo zupełnie, przy dowiadczaniach z dziedziny fizyki, zrobiłem odkrycie z zakresu fizjologii.

Doprawdy?

Wiesz, czerwone ciała krwi mogą być zamienione na białe, bezbarwne, a pomimo to zachować swoje stałe właściwości

Kemp wydał okrzyk niedowierzania. Niewidzialny Człowiek wstał i zaczął chodzić po pokoju.

Że się dziwisz mówił to rzecz naturalna. Ja też byłem, zdumiony. Pamiętam tę noc. Było bardzo późno

We dnie przeszkadzali mi studenci swoją natrętną ciekawością,

więc pracowałem nocami. To odkrycie objawiło mi się nagle i niespodziewanie.

Byłem sam.

W laboratorium panowała cisza.

Można by uczynić zwierzę, ba, i człowieka, przezroczystym i niewidzialnym, gdyby nie włosy. I ja mógłbym się stać niewidzialny pomyślałem. I nagle zrozumiałem, jakś mogę osiągnąć korzyć z tego, iż jestem, albinosem

Ta wiadomość oszołomiła mnie po prostu. Zerwałem się i podszedłem do okna.

Mógłbym się stać niewidzialny

powtarzałem sobie. Dokazać czego

podobnego to czarodziejstwo. I w umyle moim przedstawiły się wszystkie korzyści. Być

niewidzialnym to znaczy mieć nieograniczoną potęgę. Nie dostrzegałem żadnych stron

ujemnych. Nie dziw, że mi się w głowie przewróciło. Ja, ubogi profesor kształcący osłów w

provincjonalnym kolegium, mógłbym od razu stać się potentatem. Ciekaw jestem, czy i

ty, Kemp, nie byłby stracił głowy

Każdy na moim miejscu oddałby się tym badaniom,

duszą i ciałem. Powięciłem im trzy lata niezmordowanej pracy; za ledwie wzniosłem się

mozolnie na jeden szczyt, już piętrzyła się nowa góra trudności. Trzeba było opracować

tysiście szczegółów. Zniechęcałem się nieraz, opadały mi ręce, ale nie na długo.

A przy tym

musiałem wystrzegać się profesora. Ten ledził mnie z wytrwałością szpiega.

Kiedyż pan ogłosisz swój wynalazek? pytał mnie co dzień.

A ci studenci ze swoją ciekawą głupotą! Trzy lata podobnych utrapień! A po trzech latach

przekonałem się, że urzeczywistnienie teorii jest niemożliwe

niemożliwe. . . Jak to?

Dlaczego? spytał Kenip.

Nie miałem pieniędzy

odparł Niewidzialny Człowiek i zbliżył się znowu do okna.

Nagle odwrócił się.

Okradłem starego

Okradłem ojca

szepnął. Z pieniędzy, które nie były jego.

Zastrzelił się.

Te słowa wypadły z niewidzialnych ust jak straszny zgrzyt.

ROZDZIAŁ XX

W DOMU PRZY ULICY GREAT PORTLAND

Przez chwilę Kemp siedział w milczeniu wpatrując się w bezgłową postać. Nagle zerwał się, chwycił Niewidzialnego Człowieka za rękę i odciśnął go od okna.

Jeste zmęczony rzekł. Ja się rozsiadłem, a ty chodzisz. Usiądź na moim krześle.

Stał się pomiędzy Griffinem a najbliższym oknem. Griffin usiadł, milczał chwilę, potem ciśnął dalej:

Stało się to po wyjeździe z Chesilstowe College. W grudniu zeszłego roku.

Wynajmłem

w Londynie duży, nie umeblowany pokój w lichym pensjonacie w pobliżu ulicy Great Portland. Pokój był wypełniony przyrządami, które kupiłem za pieniądze ojca.

Robota szła

dobrze, zbliżała się do końca. Byłem jak człowiek, który budzi się ze snu czy też z

odrętwienia, aby wziąć udział w tragedii.

Pojechałem na pogrzeb ojca. Miałem głowę wciąż zaprzężoną owym odkryciem, więc nie próbowałem nawet oczyścić z hańby jego dobrego imienia. Pamiętam pogrzeb, karawan

szóstej klasy, mały orszak, drogę wiodącą na cmentarz; kondukt prowadził jego stary przyjaciel, mały, kichający pastorzyna.

Pamiętam, jak wracałem do pustego domu ulicami, które niegdy przerzynały skromną wioskę, a przy których wznosiły się teraz brzydkie i pretensjonalne kamienice.

Czułem się

tam zupełnie obcy.

Nie było mi żal nieboszczyka. Uważałem, że padł ofiarą własnego płytkiego sentymentalizmu. Zwyczaje przyjęte wśród ludzi zmusiły mnie do przybycia na jego pogrzeb,

lecz nic mnie to zupełnie nie obchodziło.

Jednak gdy wracałem do domu, w którym, czekała mnie pustka, ogarnęły mnie dawne wspomnienia. Spotkałem też dziewczynę dobrze mi znaną przed laty dziesięciu.

Nasze oczy

pobiegły ku sobie

Co mnie tknęło, żeby się zbliżyć do niej i przemówić.

Okazała się

bardzo ograniczona i pospolita.

Rozumiałem, że jestem zupełnie samotny na wiecie, ale tego nie odczuwałem.

Miejsce, w

którym upłynęło moje dzieciństwo, nie budziło we mnie żadnego żalu za przeszłość ani za zmarłym.

Wróciwszy do mego pokoju w Londynie, doznałem prawdziwej ulgi. Tu był mój wiat, wszystko, co kochałem. Tu czekały na mnie retorty, dowiadczczenia. Główne trudności były

już pokonane, zostawały tylko uzupełnienia, szczegóły.

Opowiem ci kiedy cały ten skomplikowany proceder, ale teraz nie ma na to czasu.

Wszystkie moje dowiadczczenia zapisane są cyframi w księgach, które ten łotr mi zabrał.

Musimy go odszukać. Musimy te książki odebrać.

Najważniejsze, ażeby przedmiot, który chcemy zrobić przezroczystym, został

poddany

działaniu fal eteru.

Te moje nowe fale nie sš bynajmniej podobne do roentgenowskich, nie zostały jeszcze zbadane, pomimo że sš bardzo wyrane. Do wywołania ich wystarczyły mi dwa niewielkie dynama, które wprowadzałem w ruch przy pomocy taniego motoru gazowego

Pierwsze dowiadczenie zrobiłem na kawałku białej wełnianej materii. Rozpuszczał się jak

kłšb dymu i niebawem zniknł mi z oczu.

Dotknłem palcem pustego miejsca i pomacałem wełnę w jej pierwotnej postaci.

Kiedy zrobiłem innš, ciekawszš jeszcze próbę. Poza moimi plecami usłyszałem miauczenie. Odwróciłem się i zobaczyłem białego brudnego kota na parapecie za szybš.

Błysnęła mi szczęliwa myśl: Masz gotowy materiał pod rękš.

Zbliżyłem się do okna, otworzyłem je i nawoływałem po cichu. Kot wskoczył do pokoju.

Był zagłodzony. Dałem mu trochę mleka i chleba z masłem dla zachęty. Umyłem go i położyłem na mojej poduszce.

I poddałe go próbie?

Tak. Upiłem go sporš dozš opium i razem z poduszkš położyłem na aparacie.

Krew

jego straciła barwę, sierć również, cały kot stał się niewidzialny z wyjšktem oczu.

To dziwne

Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Był, ma się rozumieć, obandażowany i przywišzany do poduszki, więc nie potrzebowałem się obawiać, że mi ucieknie, ale obudził się za wczenie i zaczął przeraliwie miauczeć.

Zapukano do drzwi. Dobijała się stara wiedma z dołu, która oprócz tego kota nie miała nikogo na wiecie. Słyszęc miauczenie domyliła się, że droczs jej faworyta, więc przyszła się o niego upomnieć.

Wszak tu jest mój kot? spytała przez drzwi. Skropilem znowu chustkę chloroformem, przykryłem niś kota i otworzyłem drzwi.

Nie ma tu żadnego żywego stworzenia oprócz mnie odparłem.

Zajrzała do pokoju; zdziwił jś zapewne widok pustych cian, okien bez firanek i warczšcej maszyny, przy tym doleciał jś mdły zapach. Stała chwilę na progu, wreszcie cofnęła się.

Jak długo poddawałe kota tej próbie? pytał Kemp.

Ze trzy do czterech godzin. Najtrudniej było nadać przezroczyść tłuszczowi, kociom i kolorowemu barwnikowi sierci. Tylko tęczówki nie dały się zamienić na niewidzialne.

Noc zapadła, zanim skończyłem mojs robotę; widać już było tylko wiecšce lepia i pazury. Zatrzymałem maszynę, zacząłem głaskać odrętwiałe stworzenie. Było jeszcze nieprzytomne; odwiśzałem bandaże i, będąc sam zmęczony, pozostawiłem kota na niewidzialnej poduszce i położyłem się spać.

Trudno mi było jednak usnść. Leżałem z otwartymi oczyma, nie mogłem zebrać myli; przypominałem sobie szczegóły dowiadczenia lub marzyłem goršczkowo o przyszłych próbach; wreszcie utracilem wiadomoć. Zapadłem w sen ciężki, bardziej męczyšcy od bezsenności.

Około drugiej kot zaczął przeraliwie miauczeć; próbowałem go uspokoić, a widzšc, że mi się to nie udaje, postanowiłem się go pozbyć. Pamiętam, jak się przeraziłem, gdy potarłem zapałkę i ujrzałem parę oczu wiecšcych w powietrzu, a dokoła nich próżnię.

Byłbym dał mojej ofierze mleka, ale nic już nie miałem. Kot przykucnił przy drzwiach i zawodził żałośnie. Chciałem go złapać i wyrzucić przez okno, ale mi uciekał spod rški i miauczał w rozmaitych kštach pokoju. Wreszcie otworzyłem okno. Zdaje mi się, że wyskoczył przez nie, bo zrobiło się znowu cicho.

Nie wiem sam dlaczego, zacząłem myleć o pogrzebie mojego ojca i przypomniałem sobie

wszystkie szczegóły. Spać już w żaden sposób nie mogłem. Skoro wit wstałem i zamknęwszy drzwi na klucz, wyszedłem się przejść.

A zatem twierdzisz, że po wiecie kręży Niewidzialny Kot? zagadnął Kemp.

Jeżeli go dotychczas nic zabili, to kręży. Ale sądzę, że został zabity. Wiem, że żył

jeszcze kilka dni i błąkał się po rynnie na ulicy Great Tichfield, bo przechodząc tam słyszałem miauczenie i widziałem tłum, zastanawiający się, skąd to miauczenie dochodzi.

Umilkł i siedział przez chwilę ze zwieszoną głową.

Pamiętam mówił dalej każdy szczegół tego poranku, ostatniego przed moim przeobrażeniem.

Chodziłem po Great Portland, przyglądałem się barakom w Albany i koniom pojonym u studni; wreszcie znalazłem się na szczycie wzgórza Primrose. Byłem zmęczony, chory.

Usiadłem i wygrzewałem się na słońcu.

Był to dzień styczniowy, jasny, ale mroźny. Próbowałem w skołatanej głowie ułożyć

dalszy plan działania, ale myśli nie były mi posłuszne. Cztery lata niezmordowanej pracy wyczerpały moje siły, pozbawiły mnie zdolności odczuwania wrażeń.

Byłem apatyczny i na próżno usiłowałem odzyskać dawny zapał do nauki, dawną żądzę wzbogacenia wiedzy nowymi wynalazkami, żądzę, która mnie popchnęła do zbrodni, okryła ją siwymi włosami mego ojca.

W danej chwili byłem obojętny na wszystko, nawet na sławę. Wiedziałem, że to stan

przejściowy spowodowany nadmiarem pracy i brakiem snu i że odpoczynek lub rodki lekarskie przywrócą mi dawną energię.

Czułem, że doprowadzę mój zamiar do skutku. Zdawałem sobie sprawę, że muszę dokonać

tego prędko, bo moje fundusze były już na wyczerpaniu. Myślałem też o wszystkich korzyściach wpływających z niewidzialności.

Po paru godzinach odrętwienia wstałem, powlokłem się do domu, zjadłem obiad, zażyłem

dużą dawkę strychniny i położyłem się spać w ubraniu na nieposłanym łóżku.

Strychnina jest doskonałym rodkiem. Zalecam ci ją, Kemp. Nic tak nie pokrzepia.

Obudziłem się rzewy, pełen energii

W chwili tej kto zapukał do drzwi. Wszedł mój gospodarz, polski Żyd, w szarym chałacie i przydeptanych pantoflach.

Stara wiedma narobiła plotek. Wiedziano już, że męczyłem kota w nocy. Prawa przeciwko wiwisekcji były srogie. Gospodarz mógł być pociśgnięty do odpowiedzialności,

wiec nie żałował mi grób ani pytań. Chciał wiedzieć, jak było. Zaparłem się wszystkiego.

Powiedział na to, że w całym domu słyhać było warczenie maszyny gazowej. Temu zaprzeczyć nie mogłem. Kršzył po pokoju, zagłšdał wszędzie poprzez srebrne okulary; bałem

się, aby nie podpatrzył mojej tajemnicy.

Starałem się zawsze stawać pomiędzy nim a moimi przyrzšdami, co wzmacniało jeszcze bardziej jego ciekawoć.

Pytał, dlaczego jestem zawsze samotny i tajemniczy. Czy moje dowiadczzenia sš legalne.

Czy niebezpieczne. Płaciłem jak zwykły lokator. Powinienem płacić drożej, jak każdy procederzysta

Jego dom był zawsze spokojny, renomowany, jeden jedyny na całej ulicy.

Cierpliwoć ma się wyczerpała. Powiedziałem mu, żeby się wyniósł za drzwi.

Dowodził, że

ma prawo zagłšdać do swoich lokatorów.

Wtedy chwyciłem go za kołnierz. Zleciał ze swoich własnych schodów. Zamknšłem drzwi na klucz i usiadłem, cały drżšcy z gniewu.

Powrócił. Krzyczał, odgrażał się, tłuł pięciami w drzwi, ale nie zwracałem na to uwagi.

Wreszcie odszedł.

Zajcie zmusiło mnie jednak do szybkiego działania. Nie wiedziałem, co teraz uczyni gospodarz, nie miałem, nawet pojęcia, co ma prawo ze mnš zrobić. Mogłem, wprawdzie przeprowadzić się do innego mieszkania, ale pozostało mi już tylko dwadziecia fantów,

umieszczonych w znacznej części w banku. Gdybym, uciekł, zrobiono by tutaj rewizję i tajemnica wyszłaby na jaw. Sama myśl, że moja praca narażona jest na niebezpieczeństwo, zagrzała mnie do czynu. Wziłem księżeczkę czekowš i moje trzy księgi, poszedłem do najbliższej stacji pocztowej i wyprawiłem je do biura przy ulicy Portland, przechowujšcego pakiety i listy.

Wracajšc spotkałem na schodach mojego gospodarza.

Ujrzawszy mnie nagle przed sobą, odskoczył jak oparzony. Minšłem go szybko, wbiegłem do mojego pokoju i zatrzasnąłem drzwi.

Słyszałem, że stał chwilę, jak gdyby się wahał lub namylał, wreszcie zszedł na dół ciężkim krokiem.

Zabrałem się od razu do pracy.

Skończyłem jš w cišgu nocy. Gdym jeszcze siedział odurzony wyziewami plynów odbarwiających krew, zapukano do moich drzwi.

Nie dawałem znaku życia. Pukanie ustało, słyhać było oddalajšce się kroki, potem wróciły znowu i znowu zapukano.

Słyszałem szelest za drzwiami. Złość mnie wzięła, zerwałem się i otworzyłem drzwi na ocież.

Co tam znowu? rzekłem gniewnie.

Przede mnš stał gospodarz; chciał mi wręczyć sšdowe wezwanie do opuszczenia lokalu.

Gdy mi je podawał, spostrzegł dziwny kolor moich ršk i podniósł oczy. na mojš twarz.

Stał przez chwile jakby wrosły w ziemię, potem krzyknšł przeraliwie, wypucił z ršk wiecę oraz papier i zbiegł po ciemku ze schodów.

Zamknšłem drzwi na klucz i stanšłem przed lustrem. Wtedy dopiero zrozumiałem jego strach. Moja twarz była biała, ale to biała jak kreda.

Wyglšdałem strasznie, ale nie doć na tym; skóra mnie piekła, a całe ciało było jak w

ogniu.

Rozumiałem teraz, dlaczego kot miauczał, zanim usnął pod chloroformem.

Cierpienie było

straszne, ale siła woli większa. Nie krzyknęłam ani razu, ale gryzłam poduszkę, jęczałam po cichu, mówiłam głośno zachęcając sam siebie do cierpliwości. Wreszcie zdrętwiałem czy też zasnąłem tego już nie wiem.

Gdy się ocknął, było zupełnie ciemno, ból już ustał. Nie zapomnę nigdy witu i mego przerażenia, gdy z pierwszym braskiem zobaczyłem, że moje ręce mają barwę szkła i stają się coraz bledsze i przezroczystsze. Mogłem przez nie widzieć, a choć spuściłem powieki, widziałem także, bo i powieki były przezroczyste.

Koci i arterie już znikły, nerwy stały się także niewidzialne. Każda przemiana sprawiała mi okropny ból, ale zaciskałem zęby i milczałem. Wreszcie widać już było tylko paznokcie i plamy od jakiego kwasu na palcach prawej ręki.

W pierwszej chwili byłem tak słaby, jak niemowie; stępałem, ostrożnie niewidzialnymi nogami. Dokuczał mi głód. Spojrzałem w lusterko, nie widząc przed sobą nic, tylko małeńki punkcik w renicy, ale i ten zbladł i rozplynął się w powietrzu. Musiałem dotykać czoła, ramion i piersi, żeby się przekonać, że żyję jeszcze, choć siebie widzieć nie mogę.

Użyłem nadludzkiego wysiłku woli, aby znowu przystąpić do aparatu i dokończyć procesu.

Przez cały ranek spałem twardo, zakrywając się z głową. W południe obudziło mnie pukanie do drzwi. Podniosłem się na łóżku. Wróciły mi już siły. Siadłem nasłuchując.

Doleciał mnie szept.

Zerwałem się na równe nogi i zacząłem spieszenie rozrubowywać i rozbierać na części moją maszynę; rozrzucałem je po podłodze, aby nikt nie mógł złożyć jej na powrót.

Pukanie ponowiło się. Wołano mnie. Odpowiadałem, chcąc zyskać na czasie.

Dobijali się

coraz zawzięciej, próbowali wyrwać zamek, ale ten nie ustępował.

Usiłowania te doprowadziły mnie do wciekłoci. Drżącymi rękami rzucałem na podłogę kawałki papieru, słomę, bibułę, co tylko znalazło się pod ręką, a drzwi trzęsły się od silnych pięci.

Nie mogłem odnaleźć zapalek. Otworzyłem okno. wysunłem się przez nie i usiadłem na blaszanym parapecie bardzo mocnym i tak szerokim, że mogłem przykucnąć bezpiecznie. Wiedziałem, że mnie nie mogą dostrzec, a jednak dygotałem ze strachu.

Drzwi trzeszczały pod naporem z zewnątrz, wreszcie jedna deska pękła, po chwili za wyskoczył zamek.

Na progu stanął mój gospodarz z dwoma synami, roslymi jak dęby, spoza ich pleców wychylała się stara wiedma, właścicielka kota.

Możesz sobie wyobrazić ich zdziwienie, gdy znaleli pusty pokój.

Jeden z synów przyskoczył do okna i wyjrzał przez nie. Jego obrosła twarz musnęła prawie moją. Zacisnąłem pięć i podniosłem rękę, ale się wstrzymałem.

Stary podszedł do łóżka, obmacał je, nachylił się i zajrzał pod nie, potem wszyscy rzucili się do szafy. Szwargotali i kłócili się ze sobą. Synowie dowodzili, że się odzywałem, stary im przeczył; wreszcie wobec tego, że mnie w pokoju nie było, zgodzili się ze starym. Tylko wiedma kiwała głową; w twarzy jej czytałem, że posłucha mnie o konszachty ze złym duchem i pewna jest, że to on mnie ukrył.

Stary dowodził, że jestem wiwisekjonistą, że znęcam się nad zwierzętami. Jeden z synów przyglądał się szczątkom maszyny i utrzymywał, że jestem elektrotechnikiem.

Wszyscy byli

strwożeni. Stara zaglądała pod umywalkę, pod łóżko a nawet pod szafę. Weszli moi sąsiedzi, luszkarz i rzenik, wynajmujący pokój obok.

Przyszło mi nagle na myśl, że może się znaleźć kto bardziej wykształcony, kto potrafi

moją maszynę ustawić lub bodaj zrozumieć jej konstrukcję, więc wskoczyłem przez okno do pokoju, odepchnąłem starszą wiedmę i strąciłem maszynę na ziemię. Rozbiła się na kawałki.

Wszyscy spojrzeli na siebie ze strachem, nie pojmując, jak się to stało.

Ja tymczasem wysunąłem się z pokoju i na palcach zszedłem na dół. Wbiegłem do bawialni i czekałem. Oni tam jeszcze przeglądali księgi, wreszcie usłyszałem ich kroki na

schodach. Mówili szeptem, obawiając się okropności i czarów. Weszli do jadalnego pokoju.

Wtedy wysunąłem się cichaczem i wziawszy zapalniczkę, wróciłem do mego pokoju, podpaliłem stos papierów, dorzuciłem do nich pościel, kołdry i odkręciłem gaz

Krótko mówiąc, podpaliłem dom

zawołał Kemp.

Tak. To był jedyny sposób zabezpieczenia praw mojego wynalazku

Zresztą pewny jestem, że dom był ubezpieczony.

Odryglowałem po cichu drzwi wyjściowe i wyszedłem na ulicę.

Byłem niewidzialny i teraz dopiero zacząłem rozumieć, jakie mi to zapewnia korzyści.

Snułem różne plany; niewidzialność miała mi ułatwić wykonanie najmielszych nawet pomysłów.

ROZDZIAŁ XXI

NA ULICY OKSFORD

Zstępując po raz pierwszy ze schodów jako istota niewidzialna potknąłem się parę razy i mało nie spadłem, a to dlatego, że nie mogłem dojrzeć własnych nóg.

Nie chciałem się zastanawiać nad niedogodnościami; pragnąłem, widzieć same tylko dodatnie strony mojego położenia. Doznawałem takiego uczucia, jak człowiek widzący na

obydwoje oczu, gdy się znajdzie wśród niewidomych i stąpając cicho może przesuwać się niepostrzeżenie bez zwracania niczyjej uwagi. Miałem ochotę miać się, płatać ludziom figle, klepać ich po ramieniu i zrzucać im z głów kapelusze.

Zaledwie jednak zszedłem na ulicę, uczułem ból w plecach. Odwróciłem się i spostrzegłem człowieka niosącego skrzynkę z syfonami sodowej wody. Nie widząc mnie uderzył kantem

skrzynki o moje plecy. Odwróciłem się i parsknąłem mu w nos miechem.

Diabeł siedzi w tej skrzynce! zawołałem wyrywając mu ją z ręki. Uciekł, a ja podniosłem syfony do góry.

Jaki dorożkarz, wychodzący właśnie z sąsiedniego szynku, próbując uchwycić skrzynkę zadrasnął mnie w ucho. Rzuciłem mu cały ciężar na głowę. Krzyknął przeraliwie, a szkło padając tłukło się z takim brzękiem, że aż ludzie powybiegali ze sklepów. Teraz dopiero pojąłem, jakiej sobie samemu narobiłem biedy. Kląskając moją głupotę próbowałem przeliznąć się przez tłum. Potrąciłem chłopca od rzenika, który, na szczęście, nie odwrócił się i nie zauważył, że go usuwa z drogi niewidzialna ręka. Wsunąłem się pomiędzy koła stojącej dorożki i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Nie wiem, jak tam załatwili sprawę.

Wbiegłem

na ulicę Oksford.

Chciałem wmieszać się w tłum, ale był tak zwarty, że kto nastąpił mi na nogę.

Zszedłem

więc z chodnika na bruk, po czym, widząc pustą dorożkę, wsiałem w nią i przejechałem aż do Tottenham Road. Trzęsłem się z zimna, bo byłem nagi, a powietrze, choć niezbyt ostre jak na styczeń, było jednak dla mnie za chłodne. Zrobiłem głupstwo, że nie pomyślałem, iż mimo przezroczystości pozostanę wrażliwy na temperaturę. Zrozumiałem to za późno, dowiadczwszy tego na własnej skórze. Nagle dorożkę moją poczęła przyzywać jejmość niosąca szereg grubych księzek. Wskoczyłem w porę, zanim mnie przygniotła własnym ciężarem i przenosi bibliotekę. Niewiele brakowało, aby mnie przejechał tramwaj.

Zwróciłem moje kroki w stronę Bloomsbury Square z zamiarem dostania się na mniej ludne ulice.

Byłem skostniały z zimna; kichałem zawzięcie, a w dodatku czułem się tak rozstrojony moim dziwnym położeniem, że musiałem się wstrzymywać od płaczu.

Z narożnej apteki wybiegł pies i w tejże chwili zaczął mnie obwąchiwać.

Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym poprzednio, że węch jest dla psiego umysłu tym, czym oczy dla człowieka. Psy widzą zapach, tak jak ludzie widzą kształty.

To nieznośne stworzenie szczekało, rzucało się na mnie, aż niezbyt wyranie dając mi do zrozumienia, że mnie wyczuwa. Wszedłem w ulicę Montague, nie wiedząc sam, gdzie idę i po co.

Nagle usłyszałem muzykę i ujrzałem tłum koczujący od Russell Square ze sztandarem Armii Zbawienia na czele.

Jak się tu przedostać przez tę ciżbę? Aby uniknąć zetknięcia się z nią, wbiegłem na zewnętrzne schody gmachu stojącego naprzeciw muzeum i stałem tu, dopóki tłum nie odpłynął. Szczęściem pies, spłoszony wrzaskiem orkiestry, zawrócił do domu.

Tłum jak na ironię zawodził hymn zaczynający się od słów: Kiedyż ujrzymy oblicze Twoje?

Bębny huczały, flagi powiewały w jasnym powietrzu, a pieśń płynęła daleko.

Wpatrzony w ten dziwaczny tłum nie spostrzegłem dwu łobuzów, którzy stanęli u stóp schodów.

Patrz, jakie lady! Kto tutaj wchodził bosymi nogami! zawołał jeden.

Istotnie, zostawiłem odbicie moich zabłoconych stóp na czysto wymytych schodach.

Przechodnie zaczęli się przyglądać moim ladom.

Tak, jaki człowiek wszedł tutaj na bosaka, jeli się nie mylę

zauważył

kto.

A miał zakrwawione nogi

dodał inny.

Bum! Bum! Kiedyż ujrzemy Twe oblicze?

Bum! Bum!

Twe oblicze?

Zawodziła i bębniła Armia Zbawienia.

Patrz, Ted zawołał malec ze zdziwieniem, wskazując moje nogi.

Spojrzałem i ja na swe stopy i zobaczyłem, że błoto i krew przywarły do nich i znaczyły ich kontury.

To cień nogi! zawołał towarzysz Teda i próbował ją uchwycić. Przechodnie patrzyli ciekawie. Już łapał mnie za nogę, ale zbiegłem ze schodów i wpadłem do bramy sąsiedniego domu.

Mniejszy chłopak rzucił się za mną w pogoń.

Nogi biegną same! Biegną same wołał.

Za nim pędził jego towarzysz i jaki wyrostek. Inni przechodnie wpatrywali się w Armię Zbawienia.

Dzięki temu, potrząsnąwszy parą gapiów, obiegałem dokoła Russell Square. ciągnęło mnie już siedmiu.

Pędziłem prosto przed siebie, potem skręciłem w pierwszą ulicę, a gdy wyprzedziłem znacznie moich przeladowców, starłem z moich nóg ludy krwi. i błota i w ten sposób odzyskałem zupełną niewidzialność.

Biegnąc rozgrzałem się trochę i pełen nowej otuchy szedłem dalej, choć bolała mnie noga, bo się skaleczyłem o kamień. Spotkałem niewidomego i usunąłem mu się z drogi obawiając się jego instynktu. Kilkakrotnie wpadali na mnie przechodnie, a słysząc przekleństwa unoszące się w pustym powietrzu oglądali się ze zdziwieniem.

Zaczęło padać nieg. Dostałem kataru i nie mogłem się powstrzymać od kichania, co także zdumiewało gapiów. Każdy pies, biegnący przez ulicę, przejmował mnie strachem.

Nagle powstał gwar i zamęt; ludzie biegli, nawoływali się nawzajem. Z ich okrzyków dowiedziałem się, że opodal wybuchł pożar. Zobaczyłem gęste kłęby dymu unoszące się nad dachami i drutami telefonów.

Byłem pewien, że paliło się moje mieszkanie. Pozostały w nim moje rzeczy, książki, maszyna, wszystko, co posiadałem na świecie, oprócz księżeczki czekowej i trzech tomów notatek złożonych w biurze przy ulicy Portland.

Spaliłem sam własne buty po to tylko, aby móc chodzić boso. Tego nie zrobił chyba

jeszcze nikt zdrowy na umyśle.

Niewidzialny Człowiek umilkł, za doktor Kemp spojrział przez okno.

Mów dalej.. rzekł.

ROZDZIAŁ XXII

W HALI TARGOWEJ

Rozpocząłem to nowe życie w styczniu bieżącego roku, a stało się to wśród mrozu i niegu. Pierwszymi wrażeniami, jakich doznałem pod nową postacią, był chłód, ból i zmęczenie. Nie miałem dachu nad głową, żadnej ucieczki, żadnej żywej istoty, której bym mógł zaufać. Gdybym, wyznał moją tajemnicę, stałbym się osobliwocią, wzbudziłbym ciekawość, a nie wyciśnął żadnej korzyści dla siebie.

Chciałem już zacząć jakiego przechodnia i zdać się na jego łaskę lub niełaskę, ale czułem, że tymi wyznaniem wzbudzę tylko strach lub wniechęć okrucieństwo, więc po chwili zaniechałem tego zamiaru.

Jedynym moim marzeniem było schronić się przed niebezpieczeństwem, odziać się i rozgrzać.

Ale

nawet dla mnie, Niewidzialnego Człowieka, domy stały zamknięte, zaryglowane i niedostępne.

Nagle przyszła mi do głowy znakomita myśl. Z Gower Street skręciłem na Tottenham Court Road i znalazłem się przed olbrzymią halą targową, gdzie można dostać wszystko:

mięso, towary kolonialne, bieliznę, meble i obrazy. Znasz: ten sklep, a właściwie składowe, zwane Omnium.

Sądziłem, że drzwi będą otwarte, ale się zawiodłem. Musiałem stać chwilę przed podjazdem, wreszcie szwajcar otworzył drzwi jakiejś damie. Wsunąłem się za nią do

oddziału, w którym sprzedawano wstążki, rękawiczki, pończochy i tym podobne przedmioty; stamtąd przeszedłem do obszernej sali, gdzie znajdowały się koszyki i wyplatane meble.

Nie czułem się tu jednak bezpieczny. Ludzie krążyli bezustannie, błędziłem za nimi, aż wreszcie dotarłem do sali na wyższym piętrze, zastawionej łózkami. Wgramoliłem się na jedno z nich, pomiędzy stosy materaców i poduszek.

Gaz już się palił, było ciepło i miło. Postanowiłem leżeć spokojnie aż do chwili, gdy zamkną sklep. Wtedy spodziewałem się najeść do syta i zaopatrzyć w odzienie.

Był to niezły plan. Miałem nadzieję, że zdołam się tak ubrać i osłonić, iż nikt mojej przezroczystości nie dostrzeże. Potem zabiorę dużo pieniędzy z kasy, wyjdę wmieszawszy się w tłum kupujących, odzyskam moje książki, wynajmę mieszkanie i będę pracował nad osiągnięciem dalszych korzyści z mojej niewidzialności.

W owym czasie sądziłem jeszcze, że daje mi ona przewagę nad innymi ludmi.

W godzinę po moim ukryciu się między materacami zamknięto sklepy. Subiekci i panny z wielką szybkością i wprawą składali porzucane towary.

Wysunąłem się z mojej kryjówki. Chodziłem na palcach od sali do sali; sprzątno nie tylko materie łokciowe, wstążki, galanterię, koronki, ale i pudełka z konserwami i z cukierkami.

Chowano je w duże puszkę i zamykano na kłódki. Przedmioty, które nie dały się schować, ponakrywano grubymi zasłonami. Wreszcie wszystkie krzesła zostały przysunięte do kontuarów. Panienki sklepowe i subiekci wychodzili szybko, opuszczając te progi z widoczną radością.

Potem przyszli zamiatacze ze szczotkami i cierkami. Musiałem usuwać się, cofać; jeden uderzył mnie szczotką w nogę.

Przez pewien czas błądziłem po przyciemnionych salach słysząc tylko zamiatanie i odkurzanie; wreszcie, w godzinę co najmniej po wyjściu subiektów, zapuszczono żelazne okiennice.

Zostałem sam w olbrzymim gmachu.

Udałem się naprzód do salonu zawierającego skarpetki i rękawiczki. Było tam zupełnie ciemno. Błądziłem szukając zapalek, wreszcie znalazłem je przy kasie. Zapaliłem stojąc na niej wiec.

Wybrałem, co mi było potrzeba, i poszedłem do działu ubrań; dostarczył mi on spodni, długiego surduta i kapelusza z szerokim rondem.

Uczułem się znowu człowiekiem i teraz dopiero pomyślałem o zaspokojeniu głodu.

Na górze był dział spożywczy. Zjadłem zimnego mięsiva, w maszynie zostało jeszcze

trochę kawy; odgrzałem ją na gazie. Znalazłem też czekoladę w tabliczkach i smażone owoce.

Popiłem te przysmaki czerwonym winem. Byłem już zupełnie nasycony.

Przeszedłem do drugiego salonu. Zawierał dziecinne zabawki. Błysnęła mi wyborna myśl.

Znalazłem sztuczny nos. Chciałem jeszcze dobrać sobie okulary, ale nie było tam działu optycznego. Cieszyło mnie zdobycie sztucznego nosa. Gdyby nie on, musiałbym chyba pomalować swój własny. Skoro mi się tak z jednym udało, zapragnąłem dostać perukę i maskę. Nie znalazłszy ich, położyłem się spać na stosie kołder.

Moje myśli przed zaniemieniem były bardzo miłe. Pokrzepiony na ciebie, uczyniłem się spokojny na duszy. Wszystko wydawało mi się łatwe i nie wątpiłem, że nazajutrz rano wysunę się niepostrzeżenie w zdobytej odzieży, z twarzą osłoniętą białym szalikiem i że dzięki ukradzionym pieniądzom będę mógł kupić okulary i uzupełnić nimi swój strój. Niły mi się rozmaite dziwy na tle ostatnich wypadków. Słyszałem wrzaski Żyda i okrzyki zdziwienia jego synów; widziałem starą wiedmę, właścicielkę kota. Wtem opadło ze mnie ubranie i znalazłem się nagi przy otwartym grobie mojego ojca. Pastor mruczał: Glina do gliny, popiół do popiołu, proch do prochu

I ty także zawołał gromy głos i silna ręka popchnęła mnie w otwarty grób.

Broniłem się, próbowałem krzyczeć, wezwać pomocy grabarzy, ale mnie nie słyszeli.

Stary pastor kichał i odmawiał modlitwy.

Przypomniałem sobie nagle, że jestem niewidzialny. Na nic się zdały okrzyki rozpacz. Ta sama silna ręka wepchnęła mnie do grobu. Padłem na trumnę z wielkim łoskotem, przysypano mnie ziemią

Nikt mnie nie bronił, nikt nie wiedział, że ja tam leżę. Szamotałem się

okropnie, aż obudziłem się wśród tych wysiłków.

witał już szary dzień londyński. W pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć,

gdzie jestem, co znaczš nagromadzone towary i sklepowe ludy. Usłyszałem głosy.

Odsłonięto już okna w przyległej sali. Dwu ludzi zbliżało się ku mnie. Wstałem oglšdajšc się, gdzie by uciec, ale usłyszeli szelest.

Kto tam? zawołał jeden podbiegajšc. Ujrzałem przed sobš wyrostka lat piętnastu.

Ten, widzšc postać bez głowy, wrzasnął.

Przeleciałem obok niego, ukryłem się za filarem. Przyszło mi na nagle na myl, żeby położyć się pod kontuarem.

Widziałem nogi pędzšce za mnš, słyszałem, jak wołano: Nie wypuszczać nikogo!

Naradzano się, jak mnie schwytać.

Leżałem na podłodze wystraszony. Dziwne, że nie przyszło mi nawet do głowy zdjšc z siebie ubranie, co by mi zapewniło niewidzialność. Powiedziałem sobie, że wyjdę ubrany i upierałem się przy tym.

Tutaj! Patrzcie, tutaj! padł okrzyk.

Wyskoczyłem, porwałem krzesło przysunięte do kontuaru, zakręciłem nim nad głowš chłopca, który mnie znalazł, przewróciłem go i wbiegłem na schody. Ale on podniósł się szybko i pobiegł za mnš.

Po obu stronach schodów stały majolikowe wazony. Wzišłem jeden i rozbiłem go na głowie tego dudka. Inne wazony, stršcane nogš, spadały tłukšc się na drobne kawałki. Ludzie zaczęli się zbiegać.

Uciekłem do działu spożywczego, ale tu stał kucharz w białym fartuchu. I on także pucił się za mnš w pogoń.

Wpadłem pomiędzy lampy i żelastwo, schowałem się za kontuar, a gdy kucharz chciał się do mnie zbliżyć, natarłem na niego z lampš w ręku.

Cofnął się. Wtedy dopiero ukrywšy się za ladš poczšłem zdejmować z siebie ubranie, jak mogłem najszybciej. Łatwo mi przyszło pozbyć się kurtki, spodni, skarpetek i trzewików;

najtrudniej było z flanelowś koszulś, trochę za obcisłś; przywarła do mnie jak własna skóra.

Słyszałem zbliżajśce się kroki; kucharz leżał po drugiej stronie kontuaru z rozbitś głowa.

Tędy, panie policjancie

zawołał kto. Wymknśłem się niepostrzeżenie i wpadłem

znowu do oddziału pocieli. Pod osłonś materaców oswobodziłem się z flanelowej koszuli.

Stałem się już niewidzialny w chwili, gdy policjant z trzema subiektami weszli do tego

pokoju powiewajśc kurtkś i spodniami.

Sieje odzież po drodze

Musi być tutaj! mówił jeden z subiektów.

Nie znaleli mnie jednak.

Stałem przyglśdajśc się tej pogoni i przeklinajśc wypadek pozbawiajścy mnie znowu

odzieży.

Wreszcie poszedłem do sali z produktami spożywczymi, wypilem trochę mleka; usiadłem

przy kominku i zastanawiałem się nad moim położeniem.

Po chwili weszło dwóch subiektów. Mówili o tym dziwnym wypadku, a mówili jak głupcy, nie mogśc zrozumieć, gdzie się podziałem.

Trzeba było uciekać stśd jak najprędzej, bo wszyscy się przeciw mnie sprzysięgli.

Około jedenastej, widzśc przez okno, że nieg już nie pada, wysunśłem się stamtśd za

klientami. Znalazłem się znowu na ulicy nagi i bezbronny. Nie miałem jeszcze żadnego planu

w głowie

ROZDZIAŁ XXIII

NA DRURY LANE

Teraz dopiero zaczynasz spostrzegać wszystkie ujemne strony mego położenia

mówił

Niewidzialny Człowiek. Nie miałem oto mieszkania ani odzieży, ani pieniędzy, które by

mogły mi dostarczyć jednego i drugiego. Musiałem pocić, bo gdybym zjadł

cokolwiek,

zanim bym to strawił, stałbym się widzialny. Deszcz i mgła pokrywając powierzchnię ciała

uczyniły mnie podobnym do wielkiej bańki powietrza.

Wyszedłszy na ulicę znowu zabłocilem nogi; kurz i sadza osiadły na mojej skórze, przewidywałem, że stanę się znowu dostrzegalny. Szedłem ku ulicy Portland i znalazłem się

przed moim dawnym mieszkaniem. Oczom moim przedstawił się szkielet spalonego domu. A

więc poszedł z dymem. Ja sam go spaliłem

Trzeba było przede wszystkim pomyśleć o odzieży. W jednym ze sklepów z przyborami

karnawałowymi ujrzałem cały szereg nosów i masek. To mi przypomniało mój projekt powzięty w składach Omnium.

Znałem podobny sklep na Strandzie i tam postanowiłem zaopatrzyć się w potrzebne rekwizyty.

Pragnąc uniknąć tłumu szedłem bocznymi uliczkami. Dzień był chłodny, od północy dął

wiatr. Każde przejście na drugą stronę ulicy przedstawiało niebezpieczeństwo, każdy

przechodzień mógł mnie potrącić i obalić na ziemię. Należało więc baczyć pilnie i mieć na

wszystko oko.

Na rogu ulicy Bedford jakiś dżentelmen wypadł na mnie zza węgła i rzucił mnie na bruk,

pod koła przejeżdżającej dorożki. Potłukłem się srodze. Chwyciła mnie złość.

Chcąc się

uspokoić poszedłem na rynek Covent Garden. Usiadłem cały drżący przy straganie ze

wieżymi fiołkami. Wśród tych przygód dostałem kataru i musiałem się wstrzymać od kichania, boby zwróciło to na mnie uwagę.

Odpocząwszy, dotarłem do celu mojej wędrówki. Był to brudny mały sklepik w pobliżu Drury Lane; w oknie wystawione były sztuczne klejnoty, suknie, peruki, pantofle, domina i fotografie teatralne. Sklepik był starowiecki, ciemny, niski, miecił się w czteropiętrowym domu.

Zajrzałem przez okno, a nie widząc nikogo, wszedłem. Drzwi otwierając się wprawiły w ruch dzwonek. Pozostawiłem je otwarte i siedłem prosto ku szaragom zawieszonym odzież. Przez chwilę nikt się nie zjawiał. Wreszcie usłyszałem ciężkie kroki i we drzwiach do drugiego pokoju stanął niemłody mężczyzna.

Miałem już ułożony plan. Zamierzałem wsunąć się do pokoju za sklepem i poczekawszy na sposobność wybrać perukę, maskę, okulary i ubranie, potem wyjść pod postacią mieszań może, lecz podobną do ludzkiej. Miałem nadzieję, że uda mi się okraść kasę.

Człowiek, który wszedł do sklepu, był niewielki, kulawy, ręce miał nadmiernie długie, a bardzo krótkie nogi. Widocznie przerwałem mu jedzenie. Rozglądał się po sklepie upatrując klienta, a gdy zobaczył, że nie ma nikogo, wpadł w złość i zawołał: Te przeklęte chłopaki

Wyjrzał przez drzwi na ulicę. Przed sklepem nie było nikogo. Poruszyłem się.

Stanął

zdzumiony. I ja się zdziwiłem bystrocią jego słuchu. Wrócił do pokoju za sklepem i zamknął mi drzwi przed nosem.

Nie wiedziałem, co teraz począć. Po chwili przydreptał znowu, rozglądał się po sklepie, szukał pod kontuarem. Drzwi pozostawił otwarte. Wsunąłem się przez nie do małego, łąco umeblowanego pokoiku. Na podłodze porozrzucone były maski, na stole resztki jedzenia.

Po chwili wrócił i zasiadł znowu do przerwanej obiadu. Było dla mnie torturą patrzeć,

jak pochłania befsztyk i popija piwem. Głód szarpał moje wnętrzności.

W pokoiku było troje drzwi: jedne prowadziły do sklepu, drugie na wyższe piętro, trzecie do piwnicy; wszystkie były zamknięte. Nie mogłem wyjść, dopóki on tu siedział.

Nie

miałem się poruszyć, wstrzymywałem się, żeby nie kichnąć.

Zgłodniały i zziębnięty, musiałem się przyglądać człowiekowi odzianemu przyzwoicie i napełniającemu sobie żołądek. Wreszcie skończył tę czynność, wziął talerz i wyniósł go.

Mając obie ręce zajęte, nie mogłem zamknąć drzwi. Skorzystałem z tego i zszedłem za nim do brudnej kuchni. Pozmywał talerze. Nie miałem tu co robić. Podłoga była kamienna, zmarzły mi nogi. Po cichutku wróciłem na górę i zasiadłem w jego krzele przy kominku.

Ogień już dogasał; chcąc go podsycić dorzuciłem parę węgla. On zaraz to usłyszał i wbiegł

do pokoju, zaglądał we wszystkie kąty i o mało co mnie nie dotknął. Zanim zszedł znowu na

dół, stanął na progu i ogarnął okiem cały pokój.

Pozostałem sam. Długo czekałem, zanim wrócił. Poszedł na górę, a ja za nim tłumiąc odgłos kroków.

Na schodach zatrzymał się nagle; omal nie wpadłem na niego. Obejrzał się i nasłuchiwał.

Byłbym przysięgł

mruknął. Popatrzył na dół, w górę i szedł dalej.

Trzymał już rękę na klamce, lecz zatrzymał się nagle. Czuł moją obecność, choć jej nie mógł dostrzec. Ten człowiek miał diabelnie bystry słuch!

Jeżeli tu kto jest

zawołał wsuwając rękę w kieszeń; nie znalazł, czego szukał, i

zbiegł ze schodów. Usiadłem na najwyższym stopniu i czekałem.

Wrócił po chwili, wciśniętym pomrukując. Otworzył drzwi od pokoju na górze i zanim zdążyłem wliźnąć się, zamknął mi je przed nosem.

Postanowiłem zlustrować mieszkanie; robiłem to, jak mogłem najciszej. Dom był stary,

wilgotny, tapety odstawały od cian, pełno było wszędzie myszy, a może nawet i szczurów.

Wszystkie klamki były popsute, bałem się ich dotknąć, aby nie narobić hałasu.

Kilka pokoi

stało pustych, w innych leżały stosy teatralnych gratów nabytych z drugiej ręki, sędząc z ich zniszczonego wyglądu.

Znalazłem też starą odzież i począłem ją przerzucać zapominając o bystroci jego słuchu.

Wtem doleciał mnie odgłos cichego szpania. W samym porę podniosłem głowę. Stał z rewolwerem w ręku, rozglądając się podejrzliwie.

To ona

Nikt, tylko ona

szepnęła. Zamknął drzwi po cichu i przekręcił klucz w zamku.

Usłyszałem oddalające się kroki. Przez chwilę nie wiedziałem, co począć.

Chodziłem

zafrasowany od drzwi do okna. Postanowiłem przede wszystkim przejrzeć odzież.

Zdjąłem z

półki cały jej pęk. Szelest sprowadził go znowu. Wbiegł groniejszy jeszcze niż przed chwilą.

Jego wysunięta ręka dotknęła moich pleców. Odskoczył przerażony. Stał chwilę na progu pokoju z otwartymi ustami.

To szczur

szeptnął.

Wysunąłem się przez uchylone drzwi, ale podłoga zaskrzypiała pod moimi nogami.

Stary potwór chodził po całym domu z rewolwerem w garści, zamykał na klucz jedne drzwi po drugich i klucze chował do kieszeni.

Doprowadziło mnie to do wciekłości, lecz przekonało zarazem, że jest sam w domu.

Omielony tym, w chwili gdy schodził ze schodów, zamierzyłem się krzesłem i strściłem go na dół. Spadł jak para butów.

Nie masz chyba żadnych ludzkich uczuć

przerwał Kemp.

To dobre dla zwyczajnych miertelników. Musiałem przede wszystkim myśleć o wydostaniu się z tego przeklętego domu, musiałem wyjść ubrany, tak żeby on mnie nie

widział. Zrzuciłem mu na głowę kamizelkę i owinąłem go całego w kołdrę.

Spętała go i zakneblowała?

Tak. Myl była niezła, sam przyznaj. Nie mógł się sam z tych pęt wyzwolić. Mój drogi, nie patrz na mnie tak, jak gdybym popełnił morderstwo

Wszak miał przy sobie rewolwer.

Mógł się bronić. A gdyby mnie był zobaczył, podałby mój rysopis

Jednak

w dzisiejszych czasach

w Anglii

to niesłychane. On był w swoim domu, a ty

po prostu chciała go ograbić.

Ograbić! Co za patos! Brakuje tylko, żeby powiedział o mnie, że jestem złodziejem.

Więc i ty, Kemp, cwałujesz na starych przesłdach. Czyż nie rozumiesz, w jakim byłem położeniu?

Jego położenie było jeszcze gorsze

Co chcesz przez to powiedzieć? zawołał Niewidzialny człowiek.

Twarz doktora wyrażała pogardę, ale zapanował nad sobą i rzekł spokojnie, innym zupełnie głosem niż przed chwilą:

Ha! Było istotnie w trudnej sytuacji. Jednak

Sytuacja była okropna

Przy tym on mnie cigał po całym domu z rewolwerem, zamykał drzwi na klucz

Był nieznony

Czy mnie potępiasz? Powiedz.

Nie potępiam nigdy nikogo odparł Kemp. To już wyszło z mody. Cóż zrobił potem?

Byłem głodny. Znalazłem w kuchni bochenek chleba i trochę sera, napiłem się wody z wódką, potem odsunawszy nogą zaimprovizowany tłumek poszedłem do pokoju ze starą odzieżą. Okna wychodziły na ulicę i były zasłonięte brudnymi firankami.

Wyjrzałem. Dzień

był jasny, a wydawał mi się jeszcze janiejszy przez kontrast z ciemnym mieszkaniem.

Na ulicy panował ruch. Widziałem przejeżdżające wózki z jarzynami, z rybami i parę dorożek. W pokoju unosił się mdły zapach benzyny zużytej zapewne do czyszczenia odzieży.

Zaczłem przeszukiwać wszystkie kąty; znalazłem, czego mi było potrzeba, a nadto róż, bielidło i plastry angielskie.

Chciałem pomalować sobie twarz i ręce, aby się uczynić widzialnym, lecz przypomniałem sobie, że gdyby mi było potrzeba zniknąć przed oczu ludzkich, musiałbym użyć terpentyny, która nie zawsze mogła być pod ręką, i że zajęłoby mi to sporo czasu. Odstąpiłem więc od tego zamiaru.

Wybrałem w końcu sztuczny nos (trochę mieszny, nie mieszniejszy jednak od wielu prawdziwych), dalej szafirowe okulary, siwe bokobrody i perukę. Nie mogłem znaleźć bielizny; liczyłem jednak, że dostanę ją potem za zdobyte pieniądze; tymczasem włożyłem pod spód perkalowe domino i kaszmirowe spodenki. Nie było też skarpetek, ale dopasowałem sobie buty robione jakby na moją nogę; to mi wystarczyło. Zarzuciłem pierwszy lepszy płaszcz na ramiona i okryłem głowę kapeluszem o szerokim rondzie.

W szufladzie kantorka znalazły się trzy suwereny i trzydzieci szylingów w drobnej srebrnej monecie. Wybiłem zamek w szafce, gdzie było osiem funtów w złocie.

Mogłem już wyruszyć w wiat z takim zapasem.

Ale ogarnęła mnie obawa. Czy podobna przedstawić się oczom ludzkim pod taką postacią?

Przyjrzałem się sobie w małym lusterku. Musiałem przyznać, że chociaż wyglądam miesźnie, teatralnie, nie jestem przecież fizycznie niemożliwością.

Nabrałem otuchy, otworzyłem okiennice i przypatrzyłem się jeszcze sobie w dużym, stojącym w rogu zwierciadle.

Wreszcie otworzyłem drzwi i wyszedłem na ulicę pozostawiając właściciela sklepiku zwiśzanego jak cielę w worku.

Na ulicy nie zwracałem niczyjej uwagi, choć spotykałem przechodniów. A więc ostatnia przeszkoda została zwyciężona.

Umilkł.

I nie zatroszczyłeś się o tamtego biedaka? spytał Kemp.

Bynajmniej odparł Niewidzialny Człowiek. Nie wiem nawet, co się z nim stało.

Ssędzę, że zdołał się wyzwolić z pęt albo się udusił, bo węzeł był mocno zawiśzany.

Niewidzialny Człowiek wyjrzał przez okno.

Cóż dalej? pytał Kemp.

Czekał mnie nowy zawód, a już myślałem, że wszystko pójdzie gładko. Zdawało mi się,

że zdobyłem bezkarność, że w razie niebezpieczeństwa doć mi będzie zrzucić z siebie odzież, a zniknę ludziom sprzed oczu, że będę mógł brać pieniędzy, ile zechcę i gdzie mi się spodoba.

Postanowiłem sprawić sobie wspaniałą festyn, potem zamieszkać w pierwszorzędnym hotelu i zdobyć lepsze ubranie. Byłem bardzo pewny siebie.

Wszedłem do wytwornej restauracji i kazałem sobie podać niadanie; nagle przyszło mi na myśl, że nie mogę jeść przy ludziach, bo zobaczyliby, że nie mam twarzy. Już po wybraniu potraw owiadczyłem kelnerowi, że wrócę za chwilę, i wyszedłem. Nie wiem, czy zdarzyło ci się kiedy spłatać figla własnemu apetytowi?

Nigdy odparł Kemp ale wyobrażam sobie, że nie jest to miłe.

Byłbym gryzł ludzi ze złości. Trzeba było szukać drugiej restauracji.

Znalazłem jš

wreszcie. Wszedłem i zażądałem osobnego pokoju.

Spojrzeli na mnie ze zdziwieniem.

Jestem szkaradnie oszpecony!

wyjaniłem.

Patrzyli na mnie z ciekawościš; ma się rozumieć, zastosowali się do mego życzenia.

Mogłem wreszcie zaspokoić głód. Potem zapaliłem cygaro i zacząłem obmyślać dalsze plany.

Na dworze znowu szalała nieżyca.

Coraz janiej zdawałem sobie sprawę, że istnienie Niewidzialnego Człowieka w klimacie chłodnym i dżdżystym, w mieście ludnym i cywilizowanym jest po prostu niemożliwe. Przed

tš miałš przemianš widziałem same jej korzyci. W rzeczywistości czekały mnie same

zawody.

Ssdziłem, że na tej drodze zdobędę wszystko, czego zapragnę. Chociaż jednak niewidzialność mogła mi wszystko zapewnić, ale jednocześnie uniemożliwiała używanie

wszelkich zdobyczy. Na cóż się zda ambicja, na co się zda żądza sławy, skoro nie można niś opromienić bezcielesnego czoła? Na co się zda miłość kobiety, skoro imieniem każdej musi być: Dalila, zdrada?

Nie mam żadnego zamiłowania do polityki, do filantropii, do sportu.

Cóż mi więc pozostawało? Czy warto było zatem zamieniać żywś tajemnicę na obandażowanś karykaturę człowieka?

Umilkł i spojrział znowu przez okno.

Jakimże sposobem dostałe się do Iping? spytał Kemp pragnśc zająć gocia opowiadaniem.

Udałem się tam dla robienia dalszych eksperymentów. Nie miałem już wielkiej nadziei, ale w moim umyle witały nowe projekty. Dzi już dojrzały. Szukam sposobu odzyskania tego, com utracił. I w tym właśnie celu pragnę porozumieć się z tobś.

Czy pojechałe wprost do Iping?

Tak. Zabrałem moje trzy tomy notatek, ksiżkę czekowś, mnóstwo chemikaliów i potrzebnych przyborów. Była to męczśca podróż. Padał nieg. Idśc ze stacji kolejowej do

wioski musiałem wciśz myleć o tym, żeby mój tekturowy nos nie przemókl

Zdemaskowali cię dopiero onegdaj

Broniśc się

Zabiłem, zdaje się, konstabla?

Nie. Piszś, że jego stan nie budzi obaw.

Szkoda, że nie przypłacił życiem swego zuchwalstwa. Bo i po co się do mnie wtrścał?

Czy ja im przeszkadzałem?

Pastorowi trochę, skoro zabrałe mu jego oszczędności

Kemp, ty nie masz nerwów, nie rozumiesz, co to znaczy pracować lata całe i nagle

rozbić się o brak pieniędzy, o ludzką głupotę. Można wpać we wciekłość

Można krać i

zabijać

Pomył: te osły tropiły mnie jak dzikiego zwierza

ROZDZIAŁ XXIV

PLAN CHYBIA

Ale co zrobimy teraz? rzekł Kemp rzucając ukradkiem spojrzenie w okno.

Zbliżył się do gocia, aby zasłonić przed jego oczyma trzech ludzi wchodzących właśnie na pagórek. Szli bardzo wolno, tak się przynajmniej zdawało doktorowi.

Cóż zamierzała uczynić udając się do Port Burdock? Czy miała gotowy plan? pytał.

Chciałem opucić ten kraj odparł Niewidzialny Człowiek. Korzystając z ciepłej pogody zamierzałem udać się na południe, skąd odchodzą parowce do Francji.

Projektowałem

dostać się niepostrzeżenie na okręt i odbyć tę podróż. Z Francji mogłem łatwo pojechać do Hiszpanii lub Algierii. Tam, choć s Q jest niewidzialnym, można sobie żyć w spokoju, nie dowiadczając chłodu ani głodu. W Anglii czujność jest już obudzona. Poszukuj się po całym kraju obandażowanego i szczelnie osłaniającego się człowieka. Wziłem włóczęgę Marveła, aby mi służył w podróży jako szkatułka na pieniądze i nosił moje tłumoki z odzieżą i książkami aż do chwili, gdy obmyślę sposób przesyłania pieniędzy i rzeczy za sobą

No i

ten łotr mnie okradł. Schował moje książki

moje książki, Kemp.

Ale gdzie on jest?

Na własne żądanie został zamknięty na odwachu policyjnym

Trzeba mu odebrać książki

Pamiętaj.

Naturalnie rzekł Kemp i z widocznym niepokojem łowił odgłos kroków za drzwiami. Sadze mówił że odda mi te książki, jeśli się nie domyśli, że biorę je dla

ciebie.

Zapewne

odrzekł Niewidzialny Człowiek i zamylił się.

Kemp wyszukiwał nowy temat do rozmowy, ale Niewidzialny Człowiek zaczął mówić sam z własnej woli:

Z chwilę gdy przypadkowo odnalazłem ciebie, moje plany uległy zupełnej zmianie. Ty mnie zrozumiesz. Ty mnie wyratujesz. Choć utraciłem moje książki, choć ludzie już wiedzą o moim istnieniu, mogę jeszcze

możemy

Wszak nie mówiłem nikomu, że jestem tutaj ?

spytał nagle.

Kemp zawahał się.

To było zastrzeżone z góry odparł.

Nikommu zgoła? dopytywał się Griffin.

Ani żywej duszy brzmiała odpowiedź.

Słuchaj: popełniłem wielką omyłkę podejmując to zadanie sam, bez niczyjej pomocy

mówił Niewidzialny Człowiek chodząc dużymi krokami po pokoju. Strwoniłem siły, czas i

pominąłem niejedną dobrą sposobność. To dziwne, jak człowiek sam jeden mało potrafi

dokazać! Może trochę ukrać, trochę ludzi poturbować

Ot i wszystko. Pragnę zdobyć

spokojny kąt, gdzie bym mógł spać, jeść i wypoczywać. Muszę mieć i pomocnika, i współnika. We dwóch dokážemy wielkich rzeczy. Możemy rozważyć wszystkie dodatkowe

strony niewidzialności, zastanowić się, co ona zapewnia. Wygodna jest właściwie tylko w

dwóch wypadkach: przy ucieczce i przy zbliżaniu się, a więc sprzyja morderstwu.

Mogę

bowiem okraść człowieka, mogę wybrać, gdzie go ugodzę, ugodziwszy mogę uciec bezkarnie. Kemp

drgnął. Zdało mu się, że słyszy kroki na dole.

Musimy zabijać

owiadczył Griffin.

Musimy zabijać powtórzył doktor. Słucham cię, ale nie zgadzam się na twój plan.

Po co zabijać?

To nie będeś bezmylne morderstwa. Ludzie wiedzą już o istnieniu Niewidzialnego Człowieka. Ten Niewidzialny Człowiek musi zaprowadzić terror. Musi zdobyć jakie

miasto,

bodaj Port Burdock, i szerzyć w nim postrach, wydawać rozkazy. Może to uczynić w najrozmaitszy sposób wsuwając bodaj pod drzwi skrawki papieru z rozporządzeniami. A

kto by się tym rozporządzeniom sprzeciwił, zginie z jego ręki; zginie tak samo ci wszyscy,

którzy zechcą popierać buntownika.

Kemp nie słyszał już gromkich słów Griffina. Do jego uszu doleciał odgłos otwierania

wejściowych drzwi.

Widzę rzekł dla ukrycia swoich wrażeń widzę, że twój wspólnik byłby w trudnym położeniu

Nikt by nie wiedział, że jest moim wspólnikiem zawołał Niewidzialny Człowiek.

Nagle drgnął.

Co to? spytał. Słyszę jaki hałas na dole

To nic odparł Kemp i zaczął mówić bardzo głośno i prędko: Nie zgadzam się z

twoimi prawami. Rozumiesz? Nie zgadzam się. Po co rodzajowi ludzkiemu wytaczać walkę?

Czy ci to zapewni szczęście? Nie będeś wilkiem, nie będeś samolubem. Ogło

rezultat swoich

badań, wzbogacić swój kraj takim wynalazkiem. Wtenczas zdobędziesz nie jednego, lecz

miliony pomocników. Griffin mu przerwał.

Słyszę kroki na dole

rzekł wyciągając rękę.

Zdaje ci się zaprzeczył doktor.

Sam się przekonam

szepnął Griffin zdyszając ku drzwiom.

Ale Kemp zastąpił mu drogę.

Zdrajca! krzyknął Niewidzialny Człowiek i w tejże chwili zsunął się na ziemię szlafrok, potem pantofle, wreszcie skarpetki.

Doktor podbiegł do drzwi. Griffin, już niewidzialny, rzucił się także ku nim.

Kemp otworzył drzwi. Z dołu doleciały głosy. Szybkim ruchem doktor odrzucił

Niewidzialnego Człowieka, wepchnął go do pokoju i zamknął drzwi. Klucz był

wetknięty z

zewnątrz.

Za chwilę Griffin znalazłby się uwięziony w pracowni, ale sprzyjało mu szczęście. W chwili gdy Kemp chciał zamknąć drzwi, klucz wyskoczył z dziurki i upadł na ziemię.

Doktor zbladł. Chwycił klamkę oburącz i przyciskał drzwi kolanem. Przez chwilę stawiały opór, ale wreszcie uchylły się nie szerzej jak na jakie sześć cali.

Niewidzialne palce

chwyciły doktora za gardło i odrzuciły w bok.

Na schody wstępował już pułkownik Adye, naczelnik miejscowej policji, wezwany na pomoc. Patrzył ze zdziwieniem na Kempa, który borykał się z pustym powietrzem i nagle

odskoczył, jakby go kto odepchnął.

Wtem sam pułkownik otrzymał silne uderzenie. Niewidzialne ręce dusiły go za gardło i

stręcały gwałtem ze schodów. W końcu upadł, potem uczył nogę na swych plecach i usłyszał

krzyki dwu towarzyszących mu policjantów. Widział Kempa zbiegającego co tchu ze schodów z

rozczochnymi włosami, w pomiętym ubraniu, z zakrwawionym czołem.

Na nic się zdało! Uciekł! wołał Kemp z rozpaczą.

ROZDZIAŁ XXV

POGOŃ ZA NIEWIDZIALNYM CZŁOWIEKIEM

Przez chwilę Kemp nie mógł złapać tchu, by wytłumaczyć pułkownikowi, co się stało.

Lecz Adye zaczynał się sam domyślać.

To potwór, nie człowiek

rzekł wreszcie doktor. Myli tylko o mordach, o swoich własnych korzyściach, o swoim bezpieczeństwie

Wysłuchałem strasznych zwierzeń

Kaleczył ludzi, rabował

Chce zabijać na prawo i lewo. Pragnie siać postrach.

Nic go nie powstrzyma

Jest rozwścieczony.

Musimy go złapać! owiadczył Adye.

Ale w jaki sposób? zawołał Kemp. Wtem błysnęła mu nowa myśl. Trzeba wszystkich zaprzść do roboty mówił trzeba mu przeszkodzić w ucieczce. Jeli tylko

zdoła się wymknąć, zaprowadzi terror. To jego marzenie. Musisz pan porozstawiać strażę na

kolei, na ulicach, na przystani, wezwać wojsko. Trzeba to zrobić natychmiast.

Zatrzymuje go

tu nadzieja odzyskania ksiżek z notatkami

Na odwachu policyjnym macie niejakiego

Marvela

Prawda?

Wiem, to włóczęga

Powiada, że nie ma tych księżek, ale to nieprawda. Trzeba pilnować, żeby Niewidzialny Człowiek nie mógł ani jeść, ani spać. W dzień i w nocy musi być zachowana nieustanna czujność. Niech wszystkie produkty spożywcze zostaną zamknięte, wszystkie domy zaryglowane. Oby tylko przyszedł deszcz lub chłodne noce! Trzeba postawić na nogi całe miasto i okolice. Kto żyw, niech go ciga. Powiadani panu, że to okropny człowiek, to klęska dla nas wszystkich. Strach pomyśleć, co on może nabroić!

Trzeba temu zapobiec zawołał Adye. Zorganizuję natychmiast pocig. Pan mi pomoże, prawda? Musimy zwołać radę wojenna. Nie ma chwili do stracenia. Chod

pan ze

mnś. Opowiesz mi wszystko po drodze.

Wyszli. Za drzwiami wejściowymi otwartymi na ocież ujrzeli stojących policjantów.

Trzeba naprzód pojechać na dworzec rzeki Adye i wyprawił jednego z policjantów po dorożkę.

Musimy wziąć kilka wyźłów wtrścił Kemp. One go zwietrzś. Postaraj się pan o psy.

Dobrze. Cóż więcej?

Pamiętaj pan, że zanim strawi jedzenie, to je widać. Musi się zatem ukrywać po każdym posiłku. Trzeba pochować cała broń, wszystko, co mu może służyć za oręż.

Nie wymknie się nam przez palce.

Trzeba na ulicach i drogach

tak, nie ma innej rady

Trzeba rozsypać tłuczone szkło

mówił doktor z widocznym wahaniem. To okrucieństwo, ale konieczne, w interesie obrony mieszkańców.

Przykro mi będzie zastosować taki rodek, ale skoro trzeba

Koniecznle dowodził doktor Kemp. To potwór. Należy z nim walczyć jak z dzikim zwierzem, bo jeli on odniesie nad nami zwycięstwo, to zapanujš rždy trwogi i grozy.

To nie blińi, ale kat. Niechże krew spadnie na jego własną głowę.

ROZDZAŁ XXVI

ZAMURDOWANIE WICKSTEADA

Niewidzialny Człowiek wybiegł z domu Kempa. Nagle małe dziecko bawiące się opodal zostało podrzucone w górę i spadając złamało nóżkę. Przez parę następnych godzin Griffin nie dawał znaku życia.

Nikt nie wie, co przez ten czas robił i gdzie przebywał. Łatwo się domyślić, że błąkał się po wzgórzach i na równinach za Port Burdock, że przeklinał swój niefortunny los i ludzką głupotę. Prawdopodobnie ukrył się przed promieniami palącego czerwcowego słońca w lasu Hintandeu. Tu bowiem, około drugiej po południu, w sposób tragiczny zaznaczył swoją obecność.

W jakim był stanie umysłu i jakie tworzył plany nikt nie wie. Zapewne zdrada Kempa doprowadziła go do ostateczności, a choć rozumiemy pobudki, które skłoniły doktora do owej zdrady, możemy także pojąć, a nawet usprawiedliwić oburzenie Griffina.

Liczył on na współdziałanie dawnego kolegi w swoich planach mających na celu sterroryzowanie miasta, więc zawód był tym boleńszy.

W każdym razie Griffin zniknął w południe i nikt nie wie, co robił do drugiej.

Ludzkość

dobrze na tym wyszła, ale on przeklinał zapewne swoją przymusową bezczynność.

Przez ten czas wśród mieszkańców Port Burdock szerzyła się trwoga. W rannych godzinach Niewidzialny Człowiek był jeszcze postacią legendarną; w południe, skutkiem

odezwy rozpisanej przez doktora Kempa, stał się rzeczywistym wrogiem. Należało go schwycić i uwięzić. Przygotowano się zatem do walki.

Przed drugą mógł być jeszcze opuścić tę okolicę wyruszając kolejną lub statkiem; ale już po

drugiej było to niemożliwe, wszyscy bowiem pasażerowie pomiędzy Southampton, Winchester, Brighton i Horsham jechali w wagonach zamkniętych na klucz, komunikacja

towarowa była przerwana.

W promieniu dwudziestu mil od Burdoók ludzie zbrojni w strzelby i pistolety, z psami u nogi, czatowali na gocińcach i polach.

Policjanci jedzili konno od wioski do wioski zatrzymując się przed każdą chatą i zalecając, aby zamykano wszystkie szczelnie i aby nikt nie wychodził bez broni.

O trzeciej rozpuszczono uczniów ze wszystkich wiejskich szkółek. Dzieci zbite w gromadki biegły do domu ze strachem.

Odezwa Kempa, podpisana przez pułkownika Adye, już między czwartą a piątą rozlepiona została we wszystkich okolicznych gminach. Wskazywała konieczność walki i pozbawienia Niewidzialnego Człowieka dachu i żywności.

Ludzie stosowali się do tego ciele, tak iż nad wieczorem na przestrzeni paruset mil kwadratowych panował stan wojenny. Wieść o Niewidzialnym Człowieku szła z ust do ust po całym kraju.

Jeli, wedle naszych przypuszczeń, schronił się w lasku Hintandean, to faktem jest, że go opuścił po południu i udał się na poszukiwanie broni.

Nie wiemy, jakie miał zamiary, lecz to pewne, że gdy spotkał Wicksteada, musiał już być

uzbrojony w żelazny pręt.

Nie znamy, ma się rozumieć, szczegółów tej walki. Rozegrała się przy lenej cieźce?, nie dalej jak o dwieście łokci od bramy pałacu lorda Burdocka.

Wszystko wiadczy, że była zawzięta: podeptana trawa, liczne rany na ciele pana Wicksteada, jego połamana laska, ale nie wiadomo, dlaczego doszło do utarczki.

Może Griffin dokonał tego morderstwa w przystępie obłądu?

Pan Wickstead miał lat czterdzieci pięć, pełnił obowiązki marszałka dworu u lorda Burdocka. Był z natury łagodny i spokojny, sam więc z pewnością bójki nie wywołał.

Niewidzialny Człowiek zaczął go pewnie, gdy Wickstead szedł z domu do pałacu, powalił go na ziemię, złamał mu rękę i roztrzaskał głowę żelaznym prętem, który znalazł, nim

spotkał swą ofiarę, i trzymał stale w ręku. cieżka nie prowadziła prosto z domu pana

Wicksteda do pałacu, lecz biegła o paręset metrów w bok od drogi. Mała dziewczynka idąc

po południu do szkoły widziała, jak pan Wickstead dreptał przez pola dając ku niej

ciężce. Dziewczynka naśladowała jego ruchy. wyraziły one, że szedł prędko wymachując

laską, jak gdyby co gonił. Dziewczynka owa była ostatnią osobą, która widziała go przy

życiu.

Zapewne Griffin nie popełnił tego morderstwa bezcelowo. Podjął z ziemi kawałek

żelaza bez

krwiożerczych zamiarów. Potem zjawił się Wickstead i spostrzegł to żelazo zawieszony w

powietrzu. Może nie wiedząc o Niewidzialnym Człowieku gdyż ów las odległy jest o

dziesięć mil od Port Burdock pociął się w pogoń za tym dziwnym zjawiskiem.

Niewidzialny Człowiek w obawie, aby nie domyślono się jego obecności w okolicy, umykał

co tchu; Wickstead coraz bardziej zaciekawiony podążał za nim, wreszcie uchwycił

może ten

żelazny pręt.

W zwykłych warunkach Griffin byłby niewątpliwie przeciągnął starszego o wiele Wicksteda, lecz sądząc z miejsca, w którym znaleziono ciało tego ostatniego, można

przypuszczać, że marszałek dworu lorda Burdocka na swoje nieszczęście wepchnął

przeciwnika między pokrząwy bukowego lasu. Łatwo się domyślić reszty znając niecierpliwość i bezwzględne okrucieństwo Niewidzialnego Człowieka.

Ale to są gołosłowne przypuszczenia. Dzieci wymyślają nieraz niebywałe bajki.

Jedynym niezbitym faktem jest to, że odnaleziono wśród pokrząw zwłoki Wicksteda i

gruby żelazny pręt. Griffin porzucił swój oręż na widok ofiary, pierwszej, która położył

trupem. Widocznie stracił głowę i zapomniał zupełnie o pręcie, zapomniał o celu, w którym

go był podjął, bo musiał mieć w tym jakiś cel.

A chociaż był samolubem i okrutnikiem, musiały się jednak w nim obudzić w owej chwili

wyrzuty sumienia. Po tym morderstwie próbował uciekać polami. Kilku wieniaków w pobliżu Fern Botlom słyszało jakiś głos. Głos miał się, mrucał, szlochał, to znowu krzyczał,

a biegł polami i ucichł za wzgórzem.

Przez ten czas Niewidzialny Człowiek musiał się zapewne dowiedzieć, w jaki sposób

Kemp nadużył jego zaufania. Musiał po drodze spotykać zabarykadowane domy; błyskał się

zapewne po dworcach kolejowych i dokoła szynków, odczytał porozlepiane odezwy i domyślił się, że wytoczono mu zawziętą walkę.

Z nadejściem nocy wszystkie drogi zostały odcięte przez gromadki zbrojnych ludzi; za

każdą gromadką szedł pies.

Niewidzialny Człowiek zdołał jednak przelizgiwać się niepostrzeżenie.

Musiał pałać gniewem, i to tym większym, że sam przez swoją łatwowierność dostarczył

wskazówek, których używano przeciw niemu.

Przez całą dobę ciganom go i tropiono jak dzikie zwierzę; jednak nazajutrz rano był rzewy,

pełen energii i gotów wytoczyć ostatni bój z nienawidzonemu wiatu.

ROZDZIAŁ XXVII

OBLĘŻENIE DOMU KEMPA

Kemp otrzymał taki list, skrelony ołówkiem na brudnym papierze: Wykazałe zdumiewający spryt i energię, choć nic rozumiem, jaki masz w tym cel.

Wystąpiła przeciwko mnie. Przez cały dzień kazała mnie cigać, pozbawiła mnie nocnego

spoczynku, ale pomimo to zdobyłem sobie pożywienie, wyspałem się na przekór twoim

knowaniom.

Walka pomiędzy nami dopiero się zaczyna. Nie ma innej rady, jak zaprowadzić terror.

Powiedz twojemu pułkownikowi policji, że od dziś Port Burdock nie jest już pod berłem

królowej, tylko pod rządami terroru. Jest to pierwszy rok nowej epoki epoki Niewidzialnego

Człowieka. Jam Pierwszy Niewidzialny Człowiek i w pierwszym dniu moich
rządów dla przykładu odbędzie się egzekucja niejakiego Kempa. To ostatni dzień jego życia.
Choćby się zamknął, choćby się nie wiem gdzie schował, choćby się otoczył
straż, choćby się
uzbroił od stóp do głów, Niewidzialna mierz się zbliża do niego.

Może on przedsięwziąć rodki ostrożności. I owszem. To zrobi pożądaną wrażenie na
ludziach. Przejmie ich strachem. Z chwilą gdy listonosz wrzuci to pismo do twojej skrzynki,
zacznie się między nami gra. mierz zrobi pierwszy krok ku tobie. Nikt jej nie powstrzyma.
Dzi Kemp umrze.

Po odczytaniu tego listu doktor powiedział sobie: To nie są czcze pogroźki

Odwrócił zapisaną kartkę i zobaczył na stronie adresu stempel z Hintandeau i prozaiczny
napis: Do zapłacenia 2 pensy.

Wstał, nie dojadł niadania było to o pierwszej po południu i poszedł do pracowni.

Zadzwoił na gospodynię i kazał jej obejść dom dokoła, obejrzeć wszystkie drzwi, okna i
zamknąć okiennice. Z szuflady biurka wyjął rewolwer i wsunął go do kieszeni zakietu.

Napisał kilka listów, w tym jeden do pułkownika Adye; wręczył go służszej, wskazując, jak
ma iść drogą.

Nie ma zresztą niebezpieczeństwa
rzekł, dodając w duchu: dla ciebie.

Chodził po pokoju, namyślał się, wreszcie zasiadł do stygnącego niadania. Jadł
machinalnie. Wtem uderzył pięścią w stół.

Złapiemy go! krzyknął. Musi nam wpaść w ręce! Słuszność jest po mojej stronie.

Poszedł do pracowni zamykając wszystkie drzwi za sobą.

Gra niebezpieczna

myślał ale przewaga po mojej stronie, pomimo twej niewidzialności, panie Griffin

Ciekaw też jestem, czy doprawdy znalazł

pożywienie, czy

doprawdy się wyspał? Jaka szkoda, że teraz upały! Gdyby to choć deszcz lunął!

Kemp zbliżył się do okna. Co zaszeleciło pod cianś. Odskoczył przerażony.

„Robię się nerwowo

pomyślał. To był wróbel!

Wtem usłyszał dzwonek u drzwi wejściowych; zbiegi na dół. Otworzył drzwi z klucza, odryglował je i uchylił nie spuszczając łańcuszka.

Za drzwiami rozległ się znany mu głos pułkownika Adye.

Napadł pański służący

mówił przez drzwi. Wyrwał jej list z ręki. Jest w pobliżu

Wpuć mnie pan.

Kemp zdjął łańcuch, Adye wszedł przez tak małą szparę, że zaledwie mógł się precyzyjnie.

Doktor zamknął znowu drzwi na klucz i założył je łańcuchem.

Pułkownik dostrzegł lufę rewolweru wystającą z kieszeni Kempa.

Wyrwał jej z ręki list mówił Adye poturbował ją. Ona zaczęła spazmować

Cóż pan pisał?

To dopiero głupiec ze mnie! Że też tego nie przewidziałem! Z Hintandeu godzina drogi

On już tu grasuje.

Co się stało? spytał Adye.

Kemp podał mu list Niewidzialnego Człowieka. Adye przeczytał go. Cóż pan na to? rzekł.

Zastawiłem na niego pułapkę. Pisałem o tym do pana. List wpadł w jego ręce.

Dobrze

mi tak, bom osioł.

On umknie, jak zobaczy, co tu się dzieje.

Bardzo wstąpię; to go tylko podnieci do walki. Z góry doleciał odgłos tłuczonego szkła.

To okno w pracowni objanił Kemp.

Byli już na schodach, gdy brzęknęło znowu. Wszedłszy do pracowni ujrzeli dwa okna potłuczone, pokój zasypany szkłem.

Wtem trzecie okno rozbryznęło się w drobne kawałki.

Co to znaczy? pytał Adye.

To jest poczęstek.

Czy nie można dostać się tu z zewnątrz?

Nawet kot nie zdoła tego dokazać.

Nie ma okiennic?

Nie ma. Tylko w pokojach na dole. Doleciał ich nowy brzęk.

To w pokoju sypialnym objanił Kemp. On mi wytłucze wszystkie szyby.

Głupi!

Na dole okiennice zamknięte są od rodka i szkło będzie padało na ulicę; nogi mu skaleczy.

Znowu jedno okno obwieciło o swym rozbiciu.

Wiem już, co zrobię zawołał pułkownik Adye. Daj mi pan jakś grubszą łaskę.

Pójdę na posterunek policji i każę wypucić wszystkie brytany. One potrafiś go uspokoić.

I znowu jedno okno wypadło z brzękiem.

Czy masz pan rewolwer? pytał Adye.

Kemp dotknął kieszeni żakietu.

Nie rzekł nie mam zbywajšcego dodał.

Odniosę go, a pan tutaj jeste bezpieczny.

Kemp zawstydził się swojego niezręcznego kłamstwa.

Zeszli do sieni. Druga szyba brzęknęła w pokoju sypialnym. Doktor podszedł do drzwi, jak mógł najciszej. Był bledszy niż zwykle.

Wysuń się pan szybko rzekł.

Adye był już za drzwiami, które natychmiast zostały zaryglowane i zabezpieczone łańcuchem. Wahał się chwilę, czuł się bezpieczniejszy majšc drzwi za plecami, ale opanował

swš obawę. Minšł podwórze i znalazł się przy furtce. Po trawie przebiegł niby wiaterek; co się poruszyło.

Stój! rzekł niewidzialny Głos. Adye stanšł, zacisnšł pięć z rewolwerem.

Czego chcesz? zapytał blady, wzburzony.

Zrób mi tę przyjemność i wróć się

rzekł Głos rozkazujšco.

Przykro mi odmówić

odparł Adye silšc się na spokój.

Zrobiło mu się sucho w gardle; musiał zwilżyć usta. Głos był po jego lewej ręce a nužby spróbować szczęcia?

Gdzie idziesz i po co? pytał Głos.

W kieszeni pułkownika mignęła stal.

Gdzie idę, to moja rzecz

odparł Adye: Nie dokończył tych słów, gdyż niewidzialna ręka chwyciła go za kark, uczył

kolano na

swych plecach, ale nie wypucił rewolweru. Strzelił niebacznie, na chybił

trafił, potem dostał

pięciś w usta, zachwiał się, rewolwer wysunął mu się z ręki, pułkownik upadł na ziemię.

Tam do licha

mruknięt.

Głos rozemiał się.

Zabiłbym cię na miejscu rzekł ale mi szkoda naboju.

Adye ujrzał rewolwer wiszący w powietrzu nad swymi piersiami. Czego żśdasz?
spytał.

Wstań zakomenderował Głos. Adye wstał.

Bez żadnych figłów

mówił Głos tonem rozkazującym. Pamiętaj, że ja ciebie widzę, a ty mnie dojrzeć nie możesz.
Wracaj do tego domu.

On mnie nie wpuci.

Ha! Szkoda. Nie chciałbym z tobś zadzierać.

W tych słowach była straszna groba.

Adye zwilżył znowu usta językiem, odwrócił się od lufy rewolweru, przeniósł
wzrok na

morze lniśce jak stal w promieniach południowego słońca, spojrział na miasto rodzinne i

nagle pomyślał, że jednak życie jest miłe. Wzrok jego po tej wędrówce spoczł

znowu na

lufie.

Co mam robić? szepnął Adye.

Nic, tylko wejć do tego domu.

Spróbuję. Gdyby nie chciał mnie wpucić, postaram się wejć przemocś.

Z tobś nie chcę zadzierać powtórzył Głos.

Wypuciwszy pułkownika doktor poszedł na górę i teraz wyglśdał przez potłuczone okno

pracowni słyszęc, że Adye konferuje z Niewidzialnym Człowiekiem.

Czemu nie strzeli? myślał Kemp. Nagle błysnęła rewolwer.

Doktor osłonił oczy od słońca i zobaczył swoją broń zawieszoną w powietrzu.

Ten głupiec Adye dał sobie wyrwać rewolwer!

Przyrzeknij mówił Adye że nie będziesz popychał drzwi, że nie wliniesz się za mną.

Nic nie obiecuję.

Adye powziął nagłe postanowienie. Zmierzał ku domowi, szedł powoli, z rękoma założonymi na plecy. Rewolwer sunął za nim w powietrzu. Nagle Adye odwrócił się, wyciągnął rękę, chciał go uchwycić, ale w tejże chwili runął twarzą na ziemię, a w powietrzu

uniósł się błękitnawy dym. Kemp usłyszał wystrzał. Pułkownik próbował dwignąć się, ale znowu upadł i już leżał spokojnie.

Dzień był bardzo gorący. Dokoła panowała cisza przerywana jedynie brzęczeniem much i szelestem skrzydeł motyli.

Adye leżał pod krzakiem bzu. Okiennice wszystkich okolicznych will były zamknięte, tylko w jednym domku przy oknie widać było drzemiącego staruszka. Kemp spojrzał uważniej dokoła, ale postać znikła.

Wtem u drzwi odezwał się dzwonek, po chwili zaczęto się do nich dobijać. Służba stosując się do poleceń Kempa siedziała w suterenie. Znowu zaległa cisza.

Kemp czekał chwilę, wreszcie wyjrzał przez jedno okno, potem przez drugie i trzecie.

Zszedł do sieni i nasłuchiwał. Wszedł do pokoju sypialnego, wziął pogrzebacz i poszedł obejrzeć okna parterowe. Wrócił do pracowni. Zobaczył, że Adye leży wciąż jak martwy; zobaczył też swoją służkę, która zmierzała ku domowi prowadząc dwu policjantów.

Szli

bardzo wolno.

Wtem doktor usłyszał jakiś dziwny trzask. Zbiegł na dół do kuchni. Kto rżbał

siekierś w

ramę okna; od tych uderzeń rozpadły się okiennice, ale ramy były okute. Rżbanie ustało nagle.

Kemp wyrzwał przez potłuczone okno w kuchni i zobaczył rewolwer leżący na trawniku.

Nagle broń zawisła w powietrzu i zwróciła się ku niemu. Doktor odskoczył, kula utkwiała w cianie.

Znów odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych. Kemp cichutko, na palcach zszedł do

sieni i spuścił łańcuch, ale służka musiała mu się opowiedzieć przez drzwi. Za nią wsunęli się policjanci.

Niewidzialny Człowiek ma rewolwer objaśniał doktor szeptem. Zostały mu jeszcze dwa naboje. Zabił pułkownika

Nie widzielicie go na podwórzu? Leży tam jak martwy.

Kto? spytał policjant.

Adye odparł Kemp.

Nie spostrzegliśmy trupa

mówił drugi policjant. Co to za hałasy?

On dobija się do drzwi kuchennych. Nie wiadomo, skąd dostał siekiere.

Uderzenia jej stawały się coraz głonniejsze. Służka biegła tam, ale zatrzymała się w jadalnym pokoju, bo nagle drzwi od kuchni pękły.

Tutaj! krzyknął Kemp stawiając jednego policjanta w drzwiach korytarzyka wiodącego od kuchni do jadalni, a drugiego przy drzwiach jadalni. Uzbroił

jednego w tasak,

który leżał na stole kuchennym, drugiemu dał swój pogrzebacz, ale w tejże chwili wytrściła mu go z ršk siekiera; rozległ się wystrzał. Policjant tymczasem podniósł pogrzebacz z ziemi i

z całych sił uderzył nim po rewolwerze zawieszonym w powietrzu i zrzucił go na podłogę. Służsca otworzyła okiennice, chciała pewnie wymknść się przez potłuczonš szybę.

Wtem nad głowami policjantów zawisła siekiera.

Z drogi! zawołał niewidzialny Głos. Nic wam nie zrobię. Chcę tylko załatwić się z Kempem.

My chcemy załatwić się z tobš! rzekł policjant zamierzajšc się tasakiem, lecz siekiera opadła na jego hełm; silne jej uderzenie powaliło go na ziemię.

Drugi policjant zamierzył się pogrzebaczem na siekierę; padł okrzyk bólu, siekiera potoczyła się na ziemię. Policjant przydeptał jš nogš i zamierzył się znowu pogrzebaczem.

Uciszyło się na chwilę. Potem usłyszeli kroki w jadalni i otwierajšce się tam okno.

Obalony policjant próbował się podnieć. Krew spływała mu po twarzy.

Gdzie Niewidzialny Człowiek? zapytał.

Zdaje się, że go raniłem odparł towarzysz. Wsunšł się przez drzwi

Jest teraz

w jadalni. Panie doktorze! Panie doktorze! zawołał znowu.

Tymczasem ranny policjant podniósł się. Obaj weszli do jadalni.

Doktorze Kemp! zawołał pierwszy.

Ależ z doktora Kempa bohater! zamiał się drugi.

Okno było otwarte. Kemp i służsca uciekli przez nie. Pierwszy policjant wydał o doktorze sšd ostrzejszy, choć mniej ironiczny od zdania kolegi.

ZE CIGAJŁCEGO CIGANY

Pan Heelas, najbliższy sąsiad doktora Kempa, drzemał w swojej willi, gdy zaczęło się oblężenie domu doktora.

Pan Heelas należał do tej znacznej większości, która nie chciała uwierzyć w takie bzdurstwa, jak legenda o Niewidzialnym Człowieku. Żona jego wszelako dawała zupełną wiarę tym posłuchom.

Staruszek na przekór innym nie zamknął się w swym domu, lecz chodził po ogródku, a o zwykłej porze usiadł w fotelu przy oknie i zdrzemnął się. Nagle obudził go hałas. Staruszek spojrzał na dom Kempa stojący po drugiej stronie ulicy, przetarł oczy i popatrzył znowu.

Dom tak wyglądał, jakby opustoszał od dawna, i to po gwałtownej bitwie. Wszystkie okiennice były pozamykane oprócz pracowni.

Zdaje mi się, że pół godziny temu wszystko było tam w porządku myślał pan Heelas.

Wtem usłyszał brzęk szkła, a potem zobaczył rzecz bardzo dziwną. Okiennice w pokoju jadalnym otworzyły się raptownie i pokojówka w kapeluszu i pelerynce szarpała i potrzasała ramę okna; pomagał jej w tym jakiś mężczyzna doktor Kemp, jak się okazało.

Okno otworzyło się, dziewczyna wyskoczyła i zniknęła wśród krzaków. Pan Heelas wstał zdumiony. Po chwili ujrzał wyskakującego przez okno doktora Kempa. Dostawszy się na ulicę biegł co tchu, kryjąc się pomiędzy krzaki, jak gdyby się przed kim chował. Zmierzał ku

willi pana Heelasa.

Wielki Boże! zawołał staruszek uderzony nagłą myślą. Ucieka zapewne przed Niewidzialnym Człowiekiem. A więc mówili prawdę.

Pan Heelas pozbywając się od razu swego niedowiarstwa zadzwonił na kucharkę.

Zamykaj drzwi, okna! Zamykaj wszystko! krzyczał. Biegnie do nas Niewidzialny

Człowiek!

W całym domu zawrzało jak w ulu. Staruszek pobiegł sam do bawialni i zamknął weneckie okno wychodzące na werandę. W chwili tej właśnie nad parkanem ogrodowym zawisło kolano, a potem głowa i ramiona doktora Kempa. Przesadził parkan i jak kula wpadł do szparagarni, a stamtąd przez plac tenisowy biegł ku domowi.

Nie mogę pana wpucić owiadczył pan Heelas zamykając mu okno przed nosem.

Nie mogę pana wpucie, gdyż ciga pana Niewidzialny Człowiek.

Kemp dobijał się do weneckiego okna, stukał w szyby, a widząc, że jego wysiłki są daremne, przebiegł przez werandę i począł się dobijać do bocznych drzwi. Ale i tu nic nie wskórał, więc zawrócił i wybiegł przez furtkę na drogę.

Pan Heelas, patrząc wciśz przez okno, ku swemu nieopisanemu zdumieniu zobaczył po

chwili, że szparagi jego uginają się i łamią, jak gdyby kto po nich deptał. Pan Heelas uciekł czym prędzej na piętro i nie widział już, co się działo dalej. Słyszał tylko, że kto zatrzasnął furtkę.

Wybiegłszy na drogę doktor Kemp zlatywał ze wzgórza, tak jak przed czterema dniami pan Marvel, któremu tenże doktor Kemp przypatrywał się przez okno swej pracowni.

Biegł szybko, choć nie miał wprawy w tego rodzaju ćwiczeniach fizycznych, był spocony,

złajany, nie tracił jednak przytomności umysłu. Wymijał zręcznie miejsca posypane szkłem i po raz pierwszy w swym życiu spostrzegł, że pagórek, na którym wznosi się jego dom, jest bardzo wyniosły, za mało zabudowany i zbyt odległy od miasta.

Wszystkie wille były szczelnie zamknięte, i to zamknięte z jego rozkazu. Ta myśl doprowadzała go do wciękoci. Że też nikt, bodaj przez ciekawość nie wyziera przez szpary

i serca w okiennicach, że też nikt nie widzi, iż to on szuka przytułku, nie za

Niewidzialny

Człowiek!

Miasto zaczynało się budzić z poobiedniej drzemki, tramwaj przejeżdżał włąnie ulicš u stóp pagórka. W pobliżu był posterunek policji.

Doktor Kemp słyszał coraz wyraniej tupot bosych nóg za sobš.

Ludzie patrzyli na niego ze zdziwieniem; biednemu doktorowi brakło tchu.

Zamknięto

hałaliwie szynk Pod Wesołym Cyklistš. Poza torem tramwajowym piętrzyły się stosy ziemi wykopanej przy robotach kanalizacyjnych. Kemp chciał wskoczyć do tramwaju i zasunš drzwi za sobš, ale po szybkim namyle zdecydował się podšżyć na posterunek policji.

Minšł szynk Pod Wesołym Cyklistš i pędził dalej, a za nim coraz większa liczba gapiów.

Konduktor zatrzymał tramwaj widzšc, że Kemp chce wskoczyć, i nie mógł zrozumieć, dlaczego doktor tego nie uczynił. Z portu nadbiegli majtkowie i przypatrywali się temu

wszystkiemu ze zdziwieniem. Doktor zwolnił biegu, ale po krótkiej chwili pucił

się znowu

pędem słyszšc poza sobš kroki swego przeladowcy.

Niewidzialny Człowiek! krzyknšł Kemp do marynarzy, wskazujšc palcem za siebie.

Cały rzšd majtków zasłonił go przed pogoniš. Doktor zaniechał myli wstšpienia do

cyrkułu, wpadł w bocznš uliczkę, zawahał się chwilkę przed sklepikiem korzennym, wreszcie

skręcił w aleje prowadzšcš na wzgórze.

Przebiegł znowu przez tor tramwajowy. Kilkoro dzieci bawiło się u stóp wzgórza: ujrzawszy go podniosły wrzask. Otwierano drzwi i okna, matki wcišgały dzieciaki do domów.

Wtem doktor usłyszał krzyki za sobš.

Odwrócił się, O jakie dwanacie kroków poza nim biegł majtek wymachujšc szpadš; konduktor tramwajowy wygrażał pięciš. Kobiety i mężczyźni zbiegali ze wzgórza pędzšc ku

miastu; z pobliskiego sklepiu wypadł jaki człowiek uzbrojony w potężną łaskę.

Z drogi! Z drogi! krzyczano.

Kemp zauważył od razu, że pogoń ma już zupełnie inny charakter. Rozejrzał się dokoła.

On musi być w pobliżu zawołał. Ustawcie się szeregiem!

Nie dokończył. Dostał tak silny policzek, że aż się zachwiał na nogach; potem gwałtownie pchnięty w bok runął na ziemię. Niewidzialne kolano przytłoczyło mu klatkę piersiową, niewidzialne ręce dusiły go za gardło.

Nagle doktor usłyszał jęk bólu wychodzący z pustego powietrza. Szpada majtka ugodziła w niewidzialne ciało. Czerwona kropla spadła na twarz Kempa. Ręce ciskające mu gardło rozluźniły ucisk. Doktor podniósł się z trudnością, namacał niewidzialne ramię.

Mam go! krzyknął. Upadł na ziemię. Przytrzymajcie mu nogi!

Po tym okrzyku zapanowała grona cisza, przerywana tylko zziąjanymi oddechami i odgłosami wymierzanych razów.

Niewidzialny Człowiek zdołał strząsnąć z siebie swoich napastników, zerwał się i chciał uciekać. Kemp zastąpił mu jednak drogę, dwunacie ręk podniosło się na przeciwnika.

Konduktor chwycił go za gardło. I znowu kilkunastu ludzi zważyło się na Niewidzialnego Człowieka. Kopali go, tłukli pięciami. Wtem padł rozpaczliwy okrzyk: Litoci! Litoci!

Odstępcie! zakomenderował Kemp. Jest ranny

Usunięto się natychmiast. Doktor przyklęknął, ręka jego zawisła o parę cali nad ziemią badał pracę serca.

Udaje! zawołał majtek z grubiańskim miechem.

Nie, umiera

owiadczył Kemp.

Nie oddycha

rzekł po chwili.

Tłum zwiększał się coraz bardziej. Jaka staruszka zajrzała przez ramię doktora.

Patrzcie! wrzasnęła przestraszona.

Oczy wszystkich pobiegły w kierunku jej wyciągniętego palca. Ujrzeni przezroczystą rękę:

koci, żyły, arterie i nerwy były widoczne.

Widzicie? Noga! krzyknął policjant.

I tak powoli, stopniowo przed oczyma zdumionego tłumu dopełniała się przemiana materii, ciało wracało do swej pierwotnej postaci. Było to jakby powolne działanie trucizny.

Naprzód wystąpiły żyły, potem koci, potem tętnice, wreszcie ukazały się mięśnie i skóra, początkowo przezroczyste, zamglone, później coraz wyraniejsze. Ujrzano na koniec zapadłszy

klatkę piersiową, ramiona i trupią twarz.

Na ziemi leżało złamane, martwe ciało trzydziestoletniego człowieka.

Brwi i rzęsy miał białe nie siwe ze staroci, ale białe jak u albinosów, oczy za

czerwone jak granaty. Zakryjcie tę twarz! kto zawołał. Na miłość boską, zakryjcie!

Przyniesiono przecieradło z oberży Pod Wesołym Cyklistą i osłoniwszy nieboszczyka,

wniesiono go tam. I oto na nędznym łożu w karczmie, otoczony tłumem nieokrzesanych

gapiów, nie żałowany przez nikogo, spoczywał snem wiecznym ów Griffin, który pierwszy na

wiecie zdołał uzyskać niewidzialność Griffin, genialny przyrodnik i wynalazca.

Taki był kres dziwnego i okrutnego żywota.

EPILOG

Na tym kończy się historia zdumiewających przygód Niewidzialnego Człowieka.

Kto chce dowiedzieć się o nim czego więcej, musi odbyć podróż do małej oberży w pobliżu PortStowe i zacząć gawędę z oberżystą. Na szyldzie tej oberży u góry wymalowano

kapelusz, u dołu buty, a pod nogami napis stanowiący tytuł niniejszego opowiadania.

Oberżysta jest gruby, ma nos wydatny, włosy zwichrzone i twarz chronicznie czerwona.

Cheść pozyskać jego względy należy pić, ile się zmieci; on w nagrodę opowie wszystko, co mu się zdarzyło w owym czasie i jak adwokaci próbowali odebrać pieniądze, które przy nim znaleziono.

Ale ponieważ nie mogli mi udowodnić, co było moje, a co tamtego, więc mi dali spokój powiada. Ja przecież nie wyglądam na złodzieja

Pewien przedsiębiorca

teatralny dawał mi nawet gwineę, żebym w tutejszym klubie cyklistów moimi własnymi słowami opowiedział, jak to wszystko było.

Jeżeli kto chce przerwać potok jego wymowy, niech go tylko zapyta, czy nie słyszał o trzech księgach z notatkami.

Pan Marvel przyznaje, że takie księgi istniały; wie, że go posiadają o przechowywanie tych rękopisów, ale mówi, że to nieprawda i oszczerstwo. On ich nie wziął, on ich nie ma.

Niewidzialny Człowiek odebrał mi książki, zanim mu się wymknęłam i uciekłam do PortStowe. To doktor Kemp rozgłasza, że ja chowam te księgi.

Pan Marvel po tych słowach przygląda się bacznie swojemu interlokutorowi, ustawia szklanki na bufecie i wreszcie pod pierwszym lepszym pozorem cofa się do izby za szynkwasem.

Pozostał dotychczas kawalerem; nigdy nie lubił kobiet i nie ma ani jednej służącej w swoim zakładzie. Prowadzi interes uczciwie, nie odznacza się wielką przedsiębiorczością, w ogóle jest powolny, ale myśli dużo i głęboko. Słynie też z rozumu, a jego znajomość

wszystkich dróg bitych w Anglii zdumiewa nawet cyklistów.

Co niedziela, jak rok okręży, pan Marvel jest niewidzialny dla swoich współobywateli; co wieczór po dziesiątej idzie do swego sypialnego pokoju ze szklaneczką ginu rozcieńczonego paru kroplami wody, stawia szklaneczkę na stole, zamyka drzwi i okiennice, zagląda nawet pod stół.

Wreszcie przekonawszy się, że jest sam, otwiera komodę. Z tej komody wyciąga szkatułkę, a ze szkatułki . trzy tomy oprawne w brunatną skórę i kładzie je uroczyście na stole.

Okładki ksiąg są wytarte i spleniałe, bo przez długi czas leżały one w rowie.

Oberżysta zasiada w fotelu, ładuje sobie glinianą fajeczkę nie spuszczaając księzek z oka.

Wreszcie przysuwa jedną, przewraca kartki, marszczy brwi, porusza ustami.

Cóż to była za głowa! mruczy. Co za rozum! I zapatrzony w dal przygląda się rzeczom niewidzialnym dla innych oczu.

Pełne tajemnic

szeptem uderzając dłońmi po księgach. Pełne tajemnic

Gdybym

ja to wszystko odgadł

no, no

Wiem, co bym zrobił; nie to, co on.

Pan Marvel puszcza znowu kłęby dymu i wodze marzeniom, jedynym, nieprzenionym marzeniom swego życia.

A choć doktor Kemp poluje bez ustanku na te księgi, nikt oprócz pana Marvela nie wie, że ta komoda zawiera tajemnicę niewidzialności i wiele innych, dotąd nie zgłębionych.

I nikt nie pozna tych tajemnic, chyba po mierci pana Marvela.